Misjonarze Kombonianie

2 (163)
MAR–KWI 2021

KATOLICKI DWUMIESIĘCZNIK MISYJNY

Świadczyć o Bogu

CEGIEŁKA
DLA MISJONARZA

DRODZY PRZYJACIELE MISJI!

Tylko niektórzy wyjeżdżają na misje w dalekie zakątki świata, ale każdy z nas w intencji misjonarzy i misjonarek może ofiarować modlitwę, trud swojej pracy i wszelkie cierpienia, a także pomoc materialną. Pan Bóg wybiera ludzi, którzy pozostawiają swoje domy i w imieniu wszystkich pokonują tysiące kilometrów, by głosić Chrystusa i pomagać najbardziej biednym i opuszczonym. Misjonarze często nie mają nic więcej aniżeli serca otwarte, aby pokochać innych, i ręce gotowe do pracy. Mogą tylko liczyć na nasze wsparcie, by móc wypełniać dzieło ewangelizacji.

Dołóżmy swoją cegiełkę i pomóżmy misjonarzom kombonianom głosić Chrystusa, budować kaplice, kościoły, szkoły, szpitale, formować katechistów, pomagać biednym, karmić głodnych, leczyć chorych i pocieszać smutnych.

Za każdy dar serca niech Pan Bóg Wam stokrotnie wynagrodzi.

Misjonarze Kombonianie ul. Skośna 4, 03-383 Kraków
nr konta: 56 1240 6074 1111 0000 4989 3999 z dopiskiem „Cegiełka dla misjonarza"

Słowem wstępu

BR. TOMEK BASIŃSKI MCCJ

Drodzy Czytelnicy,

Czas Wielkiego Postu prawie się kończy, ale zatrzymajmy się jeszcze trochę nad tematem krzyża, bez którego przecież nie byłoby zmartwychwstania.

W tym numerze znajdziecie artykuł o filipińskim kulcie Czarnego Nazarejczyka. Co roku miliony wiernych zbierają się w Quiapo, żeby przejść ulicami miasta i pokazać światu swoją wiarę i przynależność do Chrystusa. Filipińczycy, szczególnie ci najubożsi, utożsamiają się z Chrystusem ubiczowanym i przygniecionym ciężarem krzyża.

Przeczytacie również wywiad z panem Ryszardem Krawcem, lekarzem, który od lat rzeźbi pasje Chrystusowe. Każde jego dzieło nie tylko mówi, ale wręcz krzyczy o cierpieniu przybitego do krzyża Zbawcy.

Poznacie ponadto sanktuarium Pierwszych Męczenników Polski w Międzyrzeczu. Wierzę, że historia tych Bożych ludzi, którzy swą wiarę przypłacili śmiercią, będzie dla wielu z Was przykładem, jak podążać za Chrystusem.

Kochani, w imieniu naszej redakcji i całej wspólnoty misjonarzy kombonianów życzę Wam, żeby każdy krzyż, który niesiecie, ten najmniejszy i ten największy, prowadził Was do prawdziwego zmartwychwstania.

PAPIESKIE INTENCJE MODLITEWNE NA ROK 2021

MARZEC Ewangelizacyjna: Módlmy się o to, abyśmy przeżywali sakrament pojednania z odnowioną głębią, żeby cieszyć się nieskończonym miłosierdziem Bożym.

KWIECIEŃ Powszechna: Módlmy się za osoby, które narażają swoje życie, walcząc o podstawowe prawa w dyktaturach, w reżimach autorytarnych, a nawet w przeżywających kryzys demokracjach.

w numerze

2 (163) marzec–kwiecień 2021

3 **SŁOWEM WSTĘPU**
br. Tomek Basiński MCCJ

4 **WIADOMOŚCI**
Krótkie informacje

6 **SANKTUARIA MĘCZENNIKÓW**
Sanktuarium Pierwszych Męczenników Polski
dr Ewa Gniady

8 **NIKARAGUA**
„Cyrk" dzieci ulicy *Mauricio González*

10 **DEMOKRATYCZNA REPUBLIKA KONGA**
U boku ludzi *Enrique Bayo MCCJ*

13 **REJS ŻYCIA**
Mapa *dr Ewa Gniady*

14 **PROSTO Z MISJI**
Misja – moje powołanie
o. Stefan Giudici MCCJ

16 **FILIPINY**
Czarny Nazarejczyk *Celia M. Bonilla*

19 **BIBLIA I MISJE**
Bóg kocha ubogich *dk. Benoit Azameti MCCJ*

20 **EKUMENIZM**
Kalwinizm, wiara w przeznaczenie?
Ewelina Gwóźdź ŚMK

22 **SPOTKANIA**
Pasja według Ryszarda Krawca
br. Tomek Basiński MCCJ

27 **ŚWIECCY MISJONARZE KOMBONIANIE**
Nasza obecność w Etiopii
o. Juan González Núñez MCCJ

28 **MŁODZI I MISJE**
Święty Józef wzorem troskliwego ojca
o. Paweł Opioła MCCJ

Na okładce: Kenijczyk czytający Pismo Święte w slumsach Korogocho, Nairobi (fot. Ewa Gniady)

WYDAWCA
MISJONARZE KOMBONIANIE
ul. Skośna 4
30-383 KRAKÓW
tel. 12 262 34 68
kombonianie.redakcja@post.pl

nr konta: Pekao SA
56 1240 6074 1111 0000 4989 3999

ISSN 1231-6628

Redaktor naczelny
br. Tomasz Basiński MCCJ
braciszek.tomek@gmail.com

Zespół redakcyjny
dk. Benoit Azameti MCCJ
dr Ewa Gniady
o. Paweł Opioła MCCJ

Współpracują
Ewelina Gwóźdź ŚMK
Sylwester Laskowski
Aleksandra Rutyna
Świeccy Misjonarze Kombonianie
Mundo Negro (Hiszpania)
southworld.net

Druk
Drukarnia Beltrani
www.drukarniabeltrani.pl

NAJMŁODSZY BISKUP NA ŚWIECIE

Ojciec Święty Franciszek 8 marca 2021 r. mianował ojca Christiana Carlassare, kombonianina pełniącego dotąd funkcję wikariusza generalnego diecezji Malakal w Sudanie Południowym, na biskupa diecezji Rumbek.

Ojciec Christian pochodzi z Włoch. Urodził się 1 października 1977 r. w Schio, w prowincji Vicenza. Po ukończeniu szkoły podstawowej wstąpił do Niższego Seminarium Duchownego Misjonarzy Kombonianów w Thiene. Postulat i studia filozoficzne odbył we Florencji. W 1998 r. rozpoczął nowicjat w Venegono Superiore, który zakończył dwa lata później złożeniem pierwszych ślubów zakonnych. Następnie został skierowany za studia teologiczne na Papieski Uniwersytet Gregoriański, gdzie uzyskał licencjat z teologii i misjologii.

Śluby wieczyste złożył w Rzymie w roku 2003, a święcenia kapłańskie przyjął rok później. Jego pierwszą placówką misyjną był Sudan. Najpierw pełnił funkcję wikariusza, a następnie proboszcza parafii w stanie Jonglei. Od roku 2020 do chwili obecnej pełnił funkcję wikariusza generalnego diecezji Malakal w Sudanie Południowym.

W diecezji Rumbek, którą obejmie Christian Carlassare, od dziesięciu lat nie było biskupa. Związane to było m.in. z trudną sytuacją tego najmłodszego kraju świata, ogarniętego wojną domową. „Największym wyzwaniem jest budowanie pokoju, walka z szerzącym się ubóstwem oraz ewangelizacja" – mówi biskup nominat. Wskazuje, że w społeczeństwie konieczne jest przezwyciężenie podziałów plemiennych i etnicznych, w czym może pomóc Kościół. Na obszarze ponad 60 tys. km^2 mieszka ponad 1,5 mln ludzi, z czego niecałe 12% jest ochrzczonych. W trzynastu parafiach tej diecezji pracuje 29 kapłanów i 38 sióstr zakonnych. Praca misyjna polega przede wszystkim na pierwszej ewangelizacji. Ojciec Christian Carlassare ma 43 lata i będzie obecnie najmłodszym biskupem na świecie.

REDAKCJA

KOREA

ODKRYWAJĄ SWYCH MĘCZENNIKÓW

Kościół w Korei jest silnie zakorzeniony w świadectwie pierwszych męczenników. Jest jednocześnie świadomy, że w północnej części kraju dramat męczeństwa trwa nadal, że panuje tam ogromne cierpienie, z którym niewiele można zrobić.

Zwraca na to uwagę brat Anthony Graham Teague z ekumenicznej Wspólnoty z Taize, który od ponad 40. lat żyje w Seulu. Podkreśla, że w czasie jego posługi w tym kraju Korea z kraju misyjnego stała się Kościołem, który sam wysyła misjonarzy na cały świat. Podkreśla też, że bardzo silna jest tam siła promieniowania miejscowych męczenników. Zginęli oni głównie w XIX wieku. Pierwszą grupę kanonizował w 1984 r. Jan Paweł II. Natomiast Franciszek podczas swej wizyty w Korei w 2014 r. zaliczył w poczet błogosławionych kolejną grupę 124 męczenników. Dla Korei były to bardzo ważne wydarzenia. Pokazały, że ci męczennicy to zwykli chrześcijanie, tacy jak my.

„W tym roku Korea przeżywa wielkie święto z powodu 200. rocznicy urodzin św. Andrzeja Kim Tae-gŏn, pierwszego koreańskiego kapłana, który zginął męczeńską śmiercią w 1846 r. Stoi on na czele świętych męczenników koreańskich. Z tej okazji dzieje się wiele różnych rzeczy – powiedział brat Anthony. – Nasza wspólnota chce pomóc odkryć Koreańczykom ludzkie realia tych pierwszych chrześcijan, aby zobaczyli, że nie tylko oddali życie dla Chrystusa, ale w jaki sposób żyli przed swym męczeństwem, w jaki sposób urzeczywistniali to, co zrozumieli z Ewangelii. Temu poświęca się zbyt mało uwagi. Więcej myślimy o ich śmierci, o torturach, których doświadczyli. Tymczasem ci katolicy mieli wizję społeczną, która była radykalnie nowa. Polegała na uznaniu równości między ludźmi. Ci, którzy przyjęli chrzest, a następnie ochrzcili również swoje sługi, znosili zarazem wszelkie różnice klasowe. Tworzyli nową wspólnotę i nowe społeczeństwo. To nas dziś interesuje, jak oni żyli Ewangelią?".

Brat Anthony przyznaje, że wielkim dramatem Kościoła w Korei jest świadomość cierpień, których doświadczają mieszkańcy północnej części półwyspu. „Dziś nie ma żadnych kontaktów między Północą i Południem, relacje jeszcze bardziej się pogorszyły. Papież chciałby odwiedzić Koreę Północną, Kościół chciałby pomóc tym, którzy cierpią w tym kraju, stara się wyciągać pomocną dłoń, ale komunistyczny reżim nie odpowiada, zwłaszcza na propozycje, które płyną z Południa" – dodaje brat Anthony.

VATICANNEWS

SYRIA

PRZYWRÓCIĆ SYRYJCZYKOM NADZIEJĘ

Ponad 10 lat temu doszło w Syrii do pierwszych protestów społecznych, które w ciągu następnych miesięcy przerodziły się w krwawą wojnę domową. Jej oficjalny bilans to ponad pół miliona zabitych, 13 milionów uchodźców i całkowicie zrujnowany kraj. „Naszym zadaniem jest przywrócić Syryjczykom nadzieję, nie możemy ich pozostawić samym sobie" – mówi nuncjusz apostolski kard. Mario Zenari. Przeżył w Syrii całą wojnę i zauważa, że ikoną obecnej sytuacji są niekończące się kolejki przed piekarniami, w których sprzedawany jest chleb dofinansowany przez państwo. „Takiej nędzy nie pamiętają najstarsi ludzie. W kraju bogatym w żyzną ziemię ludzie masowo głodują – rzekł wskazując, że ludzie coraz bardziej tracą nadzieję, bo nie widzą szans na odbudowę. – Nie ma już Syrii, którą poznałem dwanaście lat temu, gdy rozpocząłem tu moją misję. Wtedy był to kraj pełen perspektyw i nadziei na przyszłość, dziś jest to Syria okrutnie zraniona. Syria, która krwawi, Syria upokorzona. Jest to Syria z przypowieści o Miłosiernym Samarytaninie, napadnięta przez złoczyńców, okradziona i porzucona na pastwę losu. Mimo całej tragedii i ogromu cierpienia nie brakuje jednak wielu miłosiernych ludzi, którzy zatrzymują się, by uleczyć nasze rany".

Nuncjusz apostolski mówi również, że nie brakuje, na szczęście, solidarności ze strony zwykłych ludzi. To takie kropelki pomocy, które stają się bezcenną nadzieją. Jednak całe to wsparcie, które wciąż jest pomocą kryzysową, musi przekształcić się w pomoc w odbudowie. W przeciwnym wypadku Syria wciąż będzie leżeć poturbowana na skraju drogi. Jak mawiał św. Paweł VI, jednym z imion pokoju jest rozwój. Nie będzie prawdziwego pokoju ani nadziei i zaufania w Syrii, dopóki nie rozpocznie się odbudowy i rozwoju gospodarczego. Nuncjusz wskazuje na wielkie znaczenie apelu papieża Franciszka, który dodaje Syryjczykom otuchy i pokazuje, że nie są całkowicie zapomniani. Wskazuje również na wagę papieskich słów wzywających wspólnotę międzynarodową do konstruktywnego wsparcia udręczonej Syrii, aby nie pozostała zapomniana, a międzyludzka solidarność rozpaliła w tym kraju na nowo nadzieję. „Coraz częściej słyszę od ludzi, że stracili już wiarę w lepszą przyszłość. Takiej beznadziei nie doświadczaliśmy nawet w czasie największych działań wojennych" – zauważa kard. Zenari. Zwraca też uwagę na cierpienia syryjskich chrześcijan, których liczba w czasie minionej dekady zmniejszyła się w tym kraju o połowę.

VATICANNEWS

NOWE HORYZONTY W STUDIOWANIU BIBLII

Kobiety-biblistki otwierają nowe perspektywy w studiowaniu Pisma Świętego. Dostrzegają elementy, na które mężczyźni często nie zwracają uwagi. Wskazuje na to siostra Nuria Calduch-Benages, która decyzją papieża Franciszka została pierwszą kobietą na stanowisku sekretarza Papieskiej Komisji Biblijnej.

Hiszpańska zakonnica należy do Zgromadzenia Sióstr Misjonarek Świętej Rodziny z Nazaretu. Może poszczycić się imponującym *curriculum* zawodowym w dziedzinie biblistyki. Specjalizuje się w Starym Testamencie, który wykłada m.in. w prestiżowym Papieskim Instytucie Biblijnym, a także na Uniwersytecie Gregoriańskim. Siostra przyznaje, że decyzja Ojca Świętego była dla niej zaskoczeniem. Przyjęła ją jednak z wdzięcznością, w przekonaniu, że obecność kobiet w tej komisji, a także innych, może być pozytywnym i znaczącym elementem, który poszerza horyzonty Kościoła. „Wiedza kobiet, ich zainteresowania i perspektywa są ważne w studiowaniu słowa Bożego. Weźmy na przykład studium kobiecych postaci biblijnych, ich narracji, użycie kobiecych metafor, feministyczną hermeneutykę i wiele innych aspektów. Czterdzieści lat temu, kiedy kobiety-biblistki były prawie niewidoczne, te tematy i takie podejście do Pisma Świętego nie były rozważane w kręgach biblistów. Dziś sytuacja się zmieniła i te kwestie są bardzo cenione przez wszystkich, zarówno mężczyzn, jak i kobiety, a publikacji w tych tematach jest coraz więcej".

VATICANNEWS

oprac.: DR EWA GNIADY, zdjęcia: BR. TOMEK BASIŃSKI MCCJ

Sanktuarium Pierwszych Męczenników Polski

Historia ta wydarzyła się ponad tysiąc lat temu w zachodniej części Wielkopolski. W roku 1001 na prośbę księcia Bolesława Chrobrego w okolice Międzyrzecza przybyli dwaj włoscy pustelnicy – Benedykt i Jan. I podjęli trud ewangelizacji miejscowej ludności. Założyli klasztor i zgodnie z benedyktyńskim duchem „ora et labora", co z języka łacińskiego tłumaczy się „módl się i pracuj", dawali piękne świadectwo wiary. Pobożne życie, jakie prowadzili, przyciągnęło wkrótce dwóch Polaków, Izaaka i jego młodszego brata Mateusza. Dołączył do nich również młody chłopak o imieniu Krystyn, świecki klasztorny kucharz. Trzeba wiedzieć, że na tych ziemiach, pomimo przyjęcia przez Polskę chrztu w roku 966, nadal duża część społeczeństwa była pogańska i wielu ludziom nie podobało się, że ktoś głosi nieznaną wiarę. Pustelnicy jednak odważnie głosili Słowo Boże, ale za to bohaterstwo zapłacili najwyższą cenę.

W nocy z 10 na 11 listopada 1003 r., najprawdopodobniej było to we wsi Święty Wojciech niedaleko Międzyrzecza, rabusie napadli na klasztor. Przed północą wtargnęli do celi Benedykta i Jana, a ich przywódca, z mieczem i świecą w rękach, obudził ich obu. Stwierdził, że przyszli z rozkazu księcia Bolesława, który nakazał ich uwięzić. Jan, doskonale znając miejscowy język, odpowiedział na kłamstwo, że to niemożliwe, ponieważ tak dobry władca nie wydałby takiego polecenia. Został wówczas jako pierwszy śmiertelnie ugodzony mieczem. Po chwili również od ciosu mieczem zginął Benedykt. Jeden z napastników przebił serce następnego zakonnika, Izaaka. Kiedy Mateusz zobaczył trzech nieżyjących współbraci, zaczął uciekać w stronę pobliskiego kościoła, pomyślał bowiem, że dom Boży będzie najlepszym schronieniem i nic mu się tam nie stanie. Rabusie jednak okazali się szybsi i zadali mu śmiertelny cios oszczepem tuż na klasztornym dziedzińcu. Ostatni zginął Krystyn, mieszkający oddzielnie, który nie wiedząc, co się stało, wo-

łał braci i próbował – z kawałkiem drewna w ręku – bronić klasztoru przed zgrają uzbrojonych napastników. Męczennicy z modlitwą na ustach oddali ducha Bogu, przebaczając swoim oprawcom. Rabusie splądrowali klasztor, a nic nie znajdując, uciekli.

Krąży wiele legend dotyczących powodów, dla których grabieżcy zamordowali misjonarzy. Jedna z nich mówi, że ówczesny książę Bolesław Chrobry przekazał zakonnikom wór złota, by wybudowali klasztor. Kiedy osiedlili się w okolicach Międzyrzecza, okazało się jednak, że miejscowa ludność jest tak hojna i życzliwa, że dzięki niej zakonnicy wybudowali klasztor, nie wydając nic z książęcego daru. Dlatego jeszcze przed listopadem 1003 r. wysłali Barnabę, który według legendy był szóstym członkiem zgromadzenia, do Chrobrego, aby oddał złoto na inny cel. Rabusie jednak o tym nie wiedzieli i dlatego napadli na klasztor, chcąc pozyskać złoto. Z rozkazu księcia szybko ich ujęto i za karę oddano na dożywotnią służbę – poprzez pokutę i ciężką pracę – do klasztoru. Zakonników pochowano według tradycji w dwóch grobach. Czterech z nich złożono we wspólnej mogile wykopanej pod podłogą kościoła, natomiast piątego, Krystyna, na terenie klasztoru, przenosząc go później do pozostałych czterech.

Bardzo szybko rozpoczął się kult tych męczenników. Ludzie przez ich wstawiennictwo zanosili modlitwy i prośby do Boga. Już w roku 1008 papież Jan XVIII bez żadnych wątpliwości zaliczył ich w poczet świętych męczenników. Trzech z nich – Izaak, Mateusz i Krystyn – zostało pierwszymi pochodzącymi z Polski męczennikami kanonizowanymi w historii Kościoła. Papież stwierdził, że znaczenie ma nie tyle przyczyna śmierci, ile gotowość oddania życia za Chrystusa, jaka od początku i każdego dnia towarzyszyła tym misjonarzom. Z taką intencją głosili Ewangelię i z nią przyjmowali cierpienie i śmierć.

W wyniku różnych wojen, jakie miały miejsce na piastowskich ziemiach, doczesne szczątki pierwszych męczenników przeniesiono do katedry w Gnieźnie. Kiedy w 1038 r. na ziemie polskie napadł książę czeski Brzetysław I, wykradł ich szczątki i przewiózł do katedry św. Wita w czeskiej Pradze, gdzie część ich spoczywa po dzień dzisiejszy. W roku 1520 biskup Jan Lubrański sprowadził z powrotem do Polski część relikwii z Czech. W 1966 r. relikwie spoczęły w kościele św. Jana Chrzciciela w Międzyrzeczu, który odtąd stał się ośrodkiem kultu pięciu męczenników. Rok wcześniej kard. Stefan Wyszyński, prymas Polski, ustanowił świętych męczenników, obok Matki Bożej Rokitniańskiej Cierpliwie Słuchającej, drugorzędnymi patronami diecezji zielonogórsko-gorzowskiej i oficjalnie zatwierdził kult w Międzyrzeczu. Do Pierwszych Męczenników Polski odniósł się również papież, dziś święty Jan Paweł II, który w 1997 r. podczas wizyty w Gorzowie Wielkopolskim podkreślił, że ci świadkowie wiary nie przestają budzić w nas głosu sumienia, który w głębi serca rodzi pytanie o gotowość oddawania na co dzień życia dla Chrystusa i Jego Ewangelii.

Wiosną 2000 r. rozpoczęła się budowa nowego kościoła, a 13 listopada 2002 r., ówczesny biskup diecezjalny Stefan Regmunt ustanowił tenże kościół sanktuarium Pierwszych Męczenników Polski. Od 2003 r. są oni patronami Międzyrzecza. Mają również swoją ulicę, szpital swojego imienia, upamiętniono ich też rzeźbami w przyzamkowym parku. Dziś to sanktuarium jest coraz silniejszym miejscem kultu Pierwszych Męczenników Polski, a jego kustoszami są księża pallotyni. Przełożony zakonu wyraził życzenie, aby każdy, kto przybywa do sanktuarium w Międzyrzeczu, poczuł się dotknięty świadectwem życia tych świętych i żeby przemyślał sobie, jak to jest z jego własnym powołaniem do bycia misjonarzem. Ci ludzie umarli, ale przecież żyją w Kościele i w naszej pamięci. Są dla nas pociągającym przykładem, wzięli sobie bowiem dosłownie do serca Ewangelię i dosłownie ją zrealizowali. ■

tekst: MAURICIO GONZÁLEZ
tłumaczenie: EWELINA GWÓŹDŹ, ŚMK

„Cyrk” dzieci ulicy

Stoją na światłach, żonglują pochodniami i kolorowymi piłkami, a także wykonują różne akrobacje. Dzieci ulicy wymyśliły nowy sposób na zbieranie pieniędzy poprzez pokazy dla kierowców.

Jest wieczór i ruch samochodowy płynie jasno oświetloną ulicą miasta Managua. Na skrzyżowaniach, tam gdzie są światła, duże i małe dzieci zamieniły wodę mydlaną, którą używały do mycia brudnych szyb samochodowych, na pokaz akrobatyki i żonglerki maczetami, nożami, pomarańczami, kolorowymi piłkami i pochodniami. Rozrywka ta jest dość niebezpieczna, ale przynosi trochę pieniędzy, ponieważ ludzie chętnie je oglądają.

Na największym bodajże skrzyżowaniu miasta spotkaliśmy się z Jose Romanem. Jest najbardziej znanym z ulicznych „akrobatów”. Jego popisowym numerem jest żonglowanie płonącymi pochodniami. Jest szczupły, niski i nosi brudne, stare ubrania. Kiedy światła zmieniają kolor na czerwony, wtedy on idzie na środek jezdni, celowo upuszcza pochodnię, podnosi ją stopami i rozpoczyna żonglerkę.

Po skończonym pokazie Jose Roman gasi pochodnie i podchodzi z otwartymi rękami do każdego z samochodów. Te ręce, poczerniałe od dymu pochodni, zbierają sumę dziesięciu cordobas. Niektórzy dają jakieś drobiazgi, inni nawet szyby nie opuszczą, jeszcze inni nie spojrzą w ich kierunku. Jose Roman pytany, ile zbiera każdego wieczoru, odpowiada: „około 100 pesos” (3 euro).

Jest ósma wieczorem, a on występuje od dwóch godzin. Kiedy światła zmieniają się na czerwone, spryskuje pochodnie benzyną, zapala je i ponownie wychodzi przed samochody i na przejściu dla pieszych wykonuje swój pokaz. Jose Roman ma dopiero dwanaście lat i mieszka w jednej z najuboższych dzielnic stolicy kraju.

Na skrzyżowaniach ulic Managua jest wiele dzieci zaangażowanych w ten sam rodzaj działalności. Wykorzystują swoją kreatywność i wyobraźnię, aby zarobić trochę pieniędzy. Wszystkie mają jedną wspólną cechę. Ci chłopcy i dziewczęta zawsze się uśmiechają, nawet gdy ludzie na nich krzyczą.

Jose Roman właśnie zakończył kolejny występ i zebrał kolejne dziesięć cordobas. Opowiada nam, jak wydaje pieniądze na kupowanie resztek jedzenia. „Nie chcesz kupo-

wać ubrań ani butów?" – pytamy. „Obecnie zbieram pieniądze na mundurek szkolny" – odpowiada. Inny chłopiec przerywa mu, mówiąc: „On kłamie. Nie zbiera pieniędzy na jedzenie czy mundurek szkolny". Jose Roman ze wstydem przyznaje, że to prawda. Daje pieniądze swojej matce. „Moja mama nie chce, żebym to robił, ale potrzebujemy pieniędzy. W domu jest nas ośmioro".

Światło znów zmienia się na czerwone. Po pokazie pytam Jose Romana, gdzie nauczył się żonglować pochodniami. „Dwa lata temu na jednej z ulic nauczył mnie tego pewien chłopiec. To nie było proste. Bardzo się poparzyłem". Potem mówi: „Mój przyjaciel zaczął wąchać klej (mieszankę kleju szewskiego i benzyny), mówiąc, że dzięki temu czuje się silny. Zachorował i umarł".

Robin, brat Jose Romana, także próbuje swoich sił z pochodniami. Jest o rok starszy. Drugi chłopak nazywa się Steve. Każdy ma własną sygnalizację świetlną. Jose Roman i Robin mieszkają z matką i ciotką. Mają dwie siostry, jedną starszą i jedną młodszą. Mama nie ma pracy, a ciocia ma dwoje małych dzieci. Wszyscy mieszkają w małym dwupokojowym domu. Ojciec Jose Romana ma jakąś nieformalną pracę, ale dużo pije i nie mieszka z nimi od lat.

Jose Roman i Robin opowiadają, jak zaczęli myć szyby zatrzymujących się na światłach samochodów i wręcz błagali o pieniądze. Szybko jednak zdali sobie sprawę, że konkurencja jest zbyt duża i wiedzieli, że muszą wymyślić coś innego. Pewnego dnia zobaczyli innego chłopca występującego na światłach i wiedzieli, że muszą zrobić to samo.

Cała trójka twierdzi, że nikt nigdy nie próbował ich przekonać do zaprzestania tej działalności, mimo że rząd ma plan dotyczący dzieci ulicy. Czują, że mają dużo szczęścia, ponieważ po pracy mogą wrócić do domu. W samej stolicy Managui na ulicach żyje 15 tys. dzieci w wieku od 7 do 15 lat.

Jest dziewiąta wieczór i mniej samochodów na ulicy. Jose Roman opowiada nam, jak kiedyś potrąciło go auto, ale na szczęście nie został ranny. Muszą być ostrożni. Robin patrzy na oparzenia na dłoniach. Steve liczy pieniądze na zakup jedzenia. Światła ponownie zmieniają kolor na czerwony, ale trójka przyjaciół jest już w drodze do domu po całym dniu pracy. Jutro powrócą. ■

tekst: ENRIQUE BAYO MCCJ
tłumaczenie: EWELINA GWÓŹDŹ, ŚMK

U boku ludzi

Demokratyczna Republika Konga wciąż boryka się z poważnymi napięciami politycznymi i społecznymi, konfliktami w niektórych regionach i lokalnym ubóstwem pomimo ogromnych bogactw naturalnych kraju. O tym właśnie rozmawiamy z kardynałem Fridolinem Ambongo.

Wygląda na to, że rząd prezydenta Felixa Tshisekedi, który przejął władzę wiosną 2019 r., znalazł się w ślepym zaułku, a dialog polityczny, zwłaszcza z frakcją związaną z wieloletnim byłym prezydentem Josephem Kabilą, który miał być początkiem długo oczekiwanych reform, od miesięcy stoi w martwym punkcie. Wynikający z tego brak zmian na lepsze odczuwa przede wszystkim ludność i tak już obciążona wieloma problemami, które w ostatnich latach sprawiły, że Kongo stało się trzecim najbiedniejszym krajem na świecie.

„Na poziomie społecznym – mówi kardynał – sytuacja jest dramatyczna; nie nastąpił żaden postęp społeczny ani gospodarczy, jedyne co się zwiększa to cierpienie. Rząd składa się z koalicji, która dziś różni się pod wieloma względami. Felix Tshiseked, obecny prezydent, i były prezydent Joseph Kabila już ze sobą nie rozmawiają. W listopadzie ubiegłego roku prezydent rozpoczął etap konsultacji, ale czas mija, a ludzie są coraz bardziej doświadczani przez nowe trudności. Dzięki Bogu, przynajmniej problem wirusa Ebola został opanowany, a pandemia Covid-19 nie jest tak niszczycielska, jak początkowo się obawiano: infekcje nie są nadmierne, nadal jednak niestrudzenie staramy się przekonywać obywateli, aby dbali o siebie i byli ostrożni. Jednak ze społecznego i ekonomicznego punktu widzenia obecny stan budzi niepokój.

Sytuację dodatkowo komplikuje aktywny konflikt w rejonach Kivu i Ituri na wschodzie kraju, i starcia zbrojne, które coraz częściej sieją śmierć i zniszczenie".

Kardynał dalej komentuje: „Na wschodzie grasują uzbrojone bandy, które dalej sieją terror. Widzieliśmy wiele napięć w Ituri, na południu, oraz w na północy Kivu w Uvira, wokół miasta Minembwe. Robimy wszystko, co w naszej mocy, aby zaapelować do sumień przywódców politycznych, by spróbowali znaleźć sprawiedliwe rozwiązanie. Jednak wszystko co tutaj próbujemy zrobić, jest bezcelowe, ponieważ rząd właściwie nie funkcjonuje. Nie jest to kwestia wojny totalnej, ale różnych konfliktów pomiędzy grupami, które codziennie przynoszą nowe ofiary. Nawet teraz nie można dokładnie powiedzieć, kto stoi za tymi starciami. Wyraźnie widać, że kraje sąsiadujące, wspierane przez mocarstwa międzynarodowe, odgrywają tu pewną rolę i chcą kontrolować wschodnią część kraju bogatą w minerały i inne surowce. Bardzo się martwimy, że ta sytuacja może doprowadzić do tzw. bałkanizacji Konga. Na tym obszarze działa wiele grup zbrojnych, niektóre utworzone przez milicje z Ugandy, Sudanu Południowego i innych obszarów. Grupy te są manipulowane przez takie kraje jak Rwanda, Burundi czy Uganda, które z kolei są w kontakcie z międzynarodowymi potęgami politycznymi i gospodarczymi".

KOŚCIÓŁ JAKO MORALNY AUTORYTET

Kościół katolicki jest wiarygodnym rozmówcą w tym kraju i często pozwala słyszeć swój głos potępiający ubóstwo, nadużycia i brak interwencji.

„Jako Kościół podkreślamy krytyczny stan sytuacji, mając nadzieję, że wkrótce nadejdzie zmiana. Władza nie robi się niczego, aby służyć ludziom, a gospodarka jest w kryzysie. Naszym obowiązkiem, nie politycznym, ale moralnym, jest stać u boku ludzi w ich walce o przetrwanie i stawianie oporu. Będąc stale blisko ludzi, uświadomiliśmy sobie, że taka sytuacja utrudnia rozwój gospodarczy, polityczny i społeczny całego narodu. Angażujemy się także w kwestie edukacji i zdrowia publicznego. Połowa szkół i placówek służby zdrowia należy do Kościoła katolickiego. W ostatnich latach sami przywódcy polityczni prosili nas o pomoc. Jest to kolejny powód, dla którego Kościół współpracuje zarówno z prezydentem urzędującym, jak i odchodzącym, aby znaleźć sposób na wyjście z tego kryzysu".

W ubiegłym roku, w swoim przesłaniu z okazji sześćdziesiątej rocznicy niepodległości DRK, kardynał przypomniał, jak „w latach sześćdziesiątych DRK była uważana za eldorado czarnej Afryki. Kiedyś ludzie przyjeżdżali tu z RPA, Nigerii i Burkina Faso, aby studiować lub poddawać się leczeniu w naszych szpitalach, a teraz nie tylko infrastruktura i zasoby są zniszczone, ale także kiedy chcemy wyjechać do innych krajów, aby studiować lub się leczyć, nie jesteśmy tam mile widziani. Wynika to z naszej reputacji spowodowanej złym zarządzaniem krajem. Zawiedliśmy haniebnie i zbiorowo. Nie możemy powiedzieć, że ta lub inna osoba jest odpowiedzialna, wszyscy jesteśmy odpowiedzialni, każdy według zajmowanego stanowiska".

CZY COŚ SIĘ ZMIENI?

Kardynał odpowiada: „Wyjdziemy z tej sytuacji dopiero po radykalnej zmianie, która będzie pochodzić od ludzi. Zmiana nie wyjdzie od kla-

sy politycznej, ale będzie wynikać z dojrzałości i świadomości ludności o własnej wartości i roli, jaką mogą odegrać w przyszłości kraju. Jako Kościół w tym miejscu musimy towarzyszyć ludziom w podejmowaniu tej odpowiedzialności. Jestem przekonany, że naród kongijski to nie te same osoby, którymi politycy w przeszłości manipulowali, kiedy chcieli. Teraz ludzie wiedzą, czego chcą i są gotowi do pracy i dążenia do bycia szanowanymi".

Odnosząc się do powołania go przez papieża Franciszka do Rady Kardynałów, arcybiskup Kinszasy mówi: „Przyjąłem tę wiadomość z wdzięcznością, choć znam własne ograniczenia, mimo to papież chciał mi dać taką ważną i delikatną rolę w zarządzaniu Kościołem powszechnym. Wyraziłem swoją wdzięczność, ale także wdzięczność mojego ludu i całej Afryki, która jest teraz reprezentowana przeze mnie w Radzie. Oczywiście odczuwam wagę tak wielkiej odpowiedzialności, wiedząc, że Ojciec Święty liczy na mnie, że poniosę ciężar całego Kościoła. Ważne jest dla mnie, że mogę liczyć na modlitwę i wsparcie innych. Nie potrafię dokładnie powiedzieć, jaki mam wnieść wkład, ale z pewnością będę głosem Afryki i Kościoła tego kontynentu w Radzie, a nawet w całym Kościele. Mam nadzieję, że będę reprezentował społeczno-duszpasterską rzeczywistość, która nadal charakteryzuje się ubóstwem i cierpieniem ludzi, spowodowanym niewłaściwym administrowaniem w wielu krajach, trudnościami najmłodszych i młodzieży, która coraz częściej myśli o opuszczeniu własnego kraju, ryzykując śmierć na pustyni lub na morzu. Moim osobistym wkładem będzie zwrócenie uwagi Kościoła na wszystkie tematy dotyczące przetrwania mojego narodu w Kongu i w całej Afryce".

W odniesieniu do Kościoła kardynał podkreśla dwie polityki duszpasterskie. „Pierwsza to dogłębna ewangelizacja – dziedzina, w której dużo pracowaliśmy. Obecnie ewangelizacja nie jest prowadzona w kontekście misyjnym, ale w kontekście wielości wyznań, w otoczeniu sekt i obliczu rosnącej obecności islamu. Jak możemy wzmocnić wiarę naszych braci i sióstr, aby mogli być dojrzałymi chrześcijanami? To wielkie wyzwanie. Drugim priorytetem jest poszukiwanie spójności pomiędzy głoszoną wiarą a zachowaniem w życiu codziennym. Te dwa problemy są naszymi duszpasterskimi priorytetami". ■

tekst: DR EWA GNIADY

Mapa

Historia ta wydarzyła się nie tak dawno na wodach indonezyjskiego Morza Banda. Pewien rybak z wioski Loleo wypłynął swoją łodzią na połów owoców morza, które później zamierzał sprzedać. Nie zabrał ze sobą żadnej mapy ani innych przyrządów przydatnych w nawigacji, bo wypływał na teren, który bardzo dobrze znał. Miał rzeczywiście duże doświadczenie w poruszaniu się po morzu, dlatego czuł się pewny i również tym razem nie przewidywał żadnych kłopotów. Niestety, kiedy już nieco odpłynął od brzegu, silne prądy morskie wypchnęły jego łódź na głębszą część morza. Wkrótce znalazł się daleko od lądu i całkowicie stracił orientację. Zupełnie nie wiedział, gdzie jest i jak ma powrócić na swoją wyspę. I tak oto został na morzu sam, bez jedzenia i picia, a zewsząd otaczała go woda, która była niezdatna do spożycia. Dryfował tak na otwartym morzu, próbując odtworzyć sobie w pamięci właściwy kierunek powrotny. Okazało się wtedy, że jego zaufanie do własnego doświadczenia zupełnie go zawiodło i mocno pożałował, że nie zabrał ze sobą choćby mapy, która z pewnością pomogłaby mu w tej trudnej sytuacji określić jego położenie i wskazać kierunek do domu. Kiedy wyczerpany i spragniony stracił już nadzieję na jakąkolwiek pomoc, po trzech dniach odnalazły go wodne służby ratunkowe.

Powyższy przykład jest nawiązaniem do cyklu, który rozpoczęłam w poprzednim numerze naszego czasopisma. Swoje życie porównałam do rejsu łódką u boku najlepszego na świecie Kapitana, jakim jest Bóg. Razem z Nim wciąż na nowo wypływam, by dobić do portu zwanego niebem. Zazwyczaj tak jest, że kiedy wybieramy się w jakąkolwiek podróż w nieznane, sięgamy po mapy, urządzenia nawigacyjne i wszelkiego rodzaju przewodniki. Od tysięcy lat mapa jest podstawowym narzędziem orientacyjnym w rękach podróżników, pielgrzymów czy turystów. Zawiera niezwykle przydatne informacje i jest bardzo ważna, bo dzięki niej możemy trafić do zamierzonego celu.

Podobnie jest z rejsem życia, w którym to nasz Kapitan – Bóg – daje nam swoją najwspanialszą i niezawodną „mapę”, jaką jest Pismo Święte. Ono, podobnie jak urządzenie nawigacyjne, zawsze nam wskaże odpowiedni kierunek, który prowadzi do Boga. Tak sobie myślę, że często jesteśmy podobni do tego rybaka pewnego swoich umiejętności żeglarskich. Bez żadnych wątpliwości deklarujemy wiarę w Boga i mówimy, że bardzo Go kochamy. Jednak nie zawsze zabieramy ze sobą tę Jego „mapę” i z niej korzystamy. A przecież w naszym codziennym życiu jest wiele sytuacji, zarówno tych pięknych i dobrych, jak też tych trudnych i złych. Wtedy to okazuje się, że choćbyśmy doświadczali bliskości Boga i mocno w Niego wierzyli, to i tak nieustannie potrzebujemy Jego bezcennej „mapy”. Ona zawsze nam wskaże właściwy kierunek i podpowie, jak sobie poradzić w trudnościach, które nieoczekiwanie pojawiają się w naszym życiu. Można zatem śmiało powiedzieć, że chrześcijanin bez Pisma Świętego jest właśnie jak ów rybak bez mapy.

Nasz Kapitan zapewnia, że Jego „mapa” jest niezwykle pomocna, ale pod warunkiem, że z niej korzystamy. Dziś każdy z nas może znaleźć swój własny sposób, aby czytać Biblię. Kiedy budzę się rano, pierwszą rzeczą, po którą sięgam, jest telefon, ponieważ mam w nim budzik. I wtedy z ciekawością sprawdzam, co wydarzyło się w świecie i czy dostałam jakąś nową wiadomość... A przecież w tym czasie mogłabym na chwilkę wziąć do ręki Biblię i przywitać się z Bogiem, podziękować za dobrą noc i przeczytać choćby jeden werset. Ale wtedy, jak to kiedyś powiedział jeden z biblistów, potrzebowałabym aż 96 lat, żeby w całości ją przeczytać...

Ta wyjątkowa Boża „mapa” mówi nam, że jeśli chcemy dopłynąć do celu, jakim jest niebo, to tutaj, na ziemi, powinniśmy kochać Boga i ludzi, za wszystko dziękować, zawsze przebaczać i pomagać. Bóg bardzo się cieszy, kiedy otwieramy Jego „mapę” i chcemy wsłuchiwać się w Jego wskazówki. Chciejmy zatem uszczęśliwiać Boga i siebie, bo dzięki Jego „mapie” nasza wiara stanie się silniejsza i możemy być pewni tego, że swoimi łódkami życia płyniemy w odpowiednim kierunku, do Boga. ■

tekst: O. STEFAN GIUDICI MCCJ

Misja – moje powołanie

Jestem misjonarzem kombonianinem od 32 lat, czyli od chwili gdy opuściłem dom rodzinny i wstąpiłem do postulatu we Florencji, co jest pierwszym etapem formacji misyjnej. Miałem wtedy 24 lata i byłem krok od zakończenia studiów, które ukończyłem już podczas postulatu.

Droga formacji misyjnej była ostatnim etapem dłuższej drogi życiowej, która miała i ma jeszcze swoje korzenia w mojej rodzinie i parafii. Tam rodziłem się i wychowałem jako człowiek i chrześcijanin. Parafia i „oratorio" – miejsce wszelkich działań na rzecz dzieci i młodzieży we włoskich parafiach – były moim drugim domem, a może nawet pierwszym? Jestem niezmiernie wdzięczny swoim rodzicom i siostrom, a także proboszczowi, którzy towarzyszyli mi od Pierwszej Komunii Świętej. Niestety, ksiądz proboszcz zmarł rok przed moimi święceniami kapłańskimi. Dzięki takim ludziom i przez służbę na parafii „poznałem" Jezusa, najpierw jako Boga a potem, stopniowo ale coraz wyraźniej, jako Człowieka i Przyjaciela.

W tym odkrywaniu ogromnie mi pomógł św. Daniel Comboni i kombonianie. Świat misyjny był mi właściwie nieznany do czasu zakończenia szkoły średniej, kiedy to pierwszy raz spotkałem kombonianów. Wejście do tego świata, przez doświadczenia misjonarzy, otworzyło przede mną zupełnie inną rzeczywistość i sposób patrzenia na nią. Jednak nie tylko Comboni i kombonianie prowadzili mnie do Afryki – Afryki XIX wieku i Afryki obecnej – choć to oni dali mi odpowiednie „okulary" do patrzenia na świat i próbowania go rozumieć. Zarówno Jezus, jak i Comboni wymagali od swoich (i ode mnie również) nowego spojrzenia na ten kontynent i krytycznej świadomości wobec tego, co się tam dzieje.

I tym właśnie dla mnie jest powołanie misyjne, które tak naprawdę, jest powołaniem do pełnego życia, do pełnego człowieczeństwa. Słowa „Idźcie na cały świat" znaczą dla mnie przede wszystkim: „poznajcie świat, w którym żyjecie" i pamiętajcie, że nie ma innego, i nie trzeba nawet stwarzać alternatywnego świata. Nasz świat jest głęboko umiłowany przez Boga i jest to jedyne miejsce, gdzie możemy żyć. Czułem się zatem powołany do wybrania takiego świata, kochania go i starania się przemieniać go na lepszy.

Zgodziłem się na powołanie misyjne, dlatego marzę o otwartym świecie, o miejscu gdzie można się spotykać, poznawać i wzrastać razem jako prawdziwi ludzie, nie pomijając nikogo po drodze. Myślę, że to najpiękniejszy obraz człowieczeństwa i nasze najprawdziwsze powołanie. W 5. rozdziale Ewange-

lii św. Marka znajduje się historia bezimiennej, chorej kobiety i Jaira, jednego z przełożonych synagogi. Oboje potrzebują Jezusa i na własny sposób proszą Go o pomoc. Niespodziewanie Jezus daje pierwszeństwo tej nieznanej kobiecie i każe Jairowi czekać. Tak naprawdę tę Ewangelię zrozumiałem, kiedy podczas swoich studiów teologicznych byłem w slumsach Nairobi. Znałem, oczywiście, ten tekst, ale dopiero tam mi zostało dane zrozumieć, co Jezus chciał mi powiedzieć. To jakbym widział tę scenę na żywo.

Wszyscy jesteśmy powołani do życia w pełni, wszyscy mamy dostęp do Jezusa, a On rzeczywiście przychodzi do wszystkich i każdego z osobna. Nic z tego jednak nie będzie, jeśli nie nauczymy się wiary od tych, których społeczeństwo uważa za ostatnich i niepotrzebnych, a którzy dla Boga są na pierwszym miejscu. To nie ja przekazuję im wiarę, ale odwrotnie, ja uczę się wiary od nich. Dokładnie tak jak Jair musiał czekać i „wierzyć tylko".

Kiedy patrzę na współczesny świat, a szczególnie na Europę, a w niej Włochy i Polskę, wyraźnie widzę, jak

> realne jest zagrożenie oddalenia się od Jezusa, od Jego „stylu" bycia i tworzenia relacji z innymi.

My nieustannie mamy tendencję do wybierania tradycji, które sami sobie stwarzamy, do ustalania granic, decydowania co jest dobre a co złe. I zupełnie nie zauważamy, że przez to po drodze pomijamy ludzi, którzy wciąż czekają na zaproszenie do Stołu Pańskiego.

Mam ogromną wiarę w młodzież, która ma tę zaletę, że nie musi dźwigać na swych barkach wieków tradycji. Młodzi ludzie są bardziej wolni i – mam nadzieję! – gotowi do wprowadzania świeżości w społeczeństwie i Kościele.

Podczas tych wszystkich lat u kombonianów – w Afryce, potem w Polsce, a obecnie znowu w Afryce – powoli sobie uświadamiałem, że pierwszym istotnym krokiem jest zmiana mentalności i sposobu patrzenia na siebie, misje, Kościół, innych, Afrykę... Wiąże się to z moim osobistym doświadczeniem duszpasterskim w Nairobi. Przyjechałem do Afryki, aby pomagać" Afrykańczykom wyjść z ubóstwa i rozwijać się. We mnie jednak panowała, choć ukryta, mentalność człowieka, który czuje się kimś ważniejszym od tych, z którymi żyje i pracuje na parafii. To było naprawdę trudne doświadczenie. Długo musiałem nad tym pracować. Wymagało to ode mnie uświadomienia sobie korzeni ubóstwa Afryki i własnego w nim udziału, nowego stylu bycia i pracy, uwierzenia w inny Kościół, bliższy do tego, którego Jezus pragnął – wspólnoty Jego naśladowców, którzy pamiętają, co On czynił i kontynuują to dzisiaj. Wspólnoty otwartej na wszystkich, bez odróżnienia i warunków, w której każda osoba może przemienić się w tego, kim naprawdę jest w oczach Boga...

Taka wizja, takie marzenie jest tym, co mnie najbardziej mobilizuje po dziś dzień. Jest źródłem mojej wiary i nadziei. Staram się też, aby była źródłem miłości do każdego człowieka. Kiedy patrzę na obecną rzeczywistość i widzę ją w czarnych barwach, to wracam do marzenia Jezusa, do Jego życia, Jego słów i działania, i przekonuję się, że mają ogromne znaczenie, szczególnie dzisiaj. Stąd też Kościół powtarza, że najważniejszą i najbardziej prawdziwą służbą, jaką on może ofiarować światu i człowiekowi, jest ewangelizacja. A ewangelizacja nie jest nauczaniem czy powtarzaniem przykazań, ale nowym życiem w Jezusie Chrystusie. ■

tekst: CELIA M. BONILLA
tłumaczenie: EWELINA GWÓŹDŹ, ŚMK

Czarny Nazarejczyk

Chociaż wielka procesja wizerunku Czarnego Nazarejczyka została w tym roku odwołana z powodu koronawirusa, to kult tej wielowiekowej figury jest unikatowy na świecie. Zobaczmy początki i rozwój tej głęboko zakorzenionej tradycji filipińskiej.

Kult Czarnego Nazarejczyka rozpoczął się w sposób przypadkowy. Zgodnie z popularną tradycją, cytowaną w *Kronikach Prowincji San Gregorio* autorstwa Fraya Juana San Antonio, Czarny Nazarejczyk przybył do wybrzeży Filipin 31 maja 1606 r. W roku 1578 dzielnica Quiapo było częścią franciszkańskiego miasta misyjnego Santa Ana de Sapa (dosłownie Święta Anna z Potoku), które rozciągało się na południe od rzeki Pasig.

Quiapo wzięło swoją nazwę od kapusty wodnej zwanej *kiyapo*, w którą obfitowały ujścia rzek i strumienie płynące przez wysepki. Okręg stał się samodzielnym miastem 29 sierpnia 1586 r., kiedy to generalny gubernator Santiago de Vera przystał na prośbę złożoną przez franciszkańskiego misjonarza Pedro Bautisa. Ten zaś wyznaczył Antonio de Nombella na pierwszego wikariusza nowej parafii pod wezwaniem Najsłodszego Imienia Jezus. Pierwsza kaplica powstała w 1592 r. i była wykonana z bambusa pokrytego strzechą.

ARTYSTYCZNA DOSKONAŁOŚĆ

Efektem dodatkowym ewangelizacji, zapoczątkowanej przez franciszkanów, a obecnie prowa-

dzonej przez księży diecezjalnych, był rozwój handlu. Religijne rzeźby, obrazy, ryciny i książki, wykonane przez okoliczną ludność, zbudowały reputację artystycznej doskonałości i prestiżu. Mieszkańcy Quiapo, którzy zostali pracownikami najemnymi po drugiej stronie rzeki Pasig, wchłaniając miejscową kulturę, mogli dzielić się jej owocami gospodarczymi z resztą Quiapo.

Po pożarze kościoła zbudowano mocniejszą budowlę z kamienia. Ale i ona została zburzona podczas wielkiego trzęsienia ziemi w 1880 r. Ostatecznie, po kolejnym pożarze, na początku XX wieku kościół został odbudowany przez filipińskiego narodowego artystę architektury Juana Nakpila. Nakpil podarował również baldachim nad Czarnego Nazarejczyka. Obecną świątynię, odnowioną w 1987 r., powiększono o nawę według projektu architekta Jose Marię Zaragoza, ucznia Nakpila. Teraz jest to bazylika mniejsza Czarnego Nazarejczyka.

AUGUSTIANIE REKOLEKCI

Czarny Nazarejczyk przybył na Filipiny z Meksyku w dniu 31 maja 1606 r. Lokalne legendy mówią, że kiedy statek galeonowy utknął w Meksyku z powodu złej pogody, jego oficerowie i członkowie załogi (zarówno Hiszpanie, jak i Filipińczycy) modlili się w kościele, w którym przebywał Czarny Nazarejczyk. Ponieważ trudno było przekonać załogę do płynięcia z powrotem po Oceanie Spokojnym, kapitan poprosił proboszcza, aby pozwolił jego ludziom zabrać ze sobą posąg Chrystusa niosącego krzyż, który by towarzyszył im przez niebezpieczeństwa oceanu. Opiekę nad kościołem w Qiapo powierzono Zakonowi Augustianów Rekolektów, ponieważ dziesięciu braci z tego zakonu oficjalnie sprowadziło Czarnego Nazarejczyka. Po dotarciu do portu w Cavite, zakonnicy zadbali o schronienie posągu na terenie, który miał być ich początkowym terytorium ewangelizacyjnym – Cavite Puerto, gdzie cumowały statki galeonów i gdzie handel był ożywiony.

Początkowo figurę przechowywano w kościele pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela na obrzeżach Intramuros w Bagumbayan. Po dwóch latach przeniesiono ją do wspanialszego kościoła pod wezwaniem św. Mikołaja w Tolentino. Zakonnicy zdobyli również inne figury ze stacji krzyżowej, takie jak „Agonia w ogrodzie", „Biczowanie przy filarze" i „Koronowanie cierniami". Jednak to

„Chrystus niosący krzyż" przyciągał powszechną uwagę i oddanie.

Czarny Nazarejczyk to naturalnej wielkości posąg Jezusa Chrystusa, który przyklęka na lewym kolanie, a na prawym ramieniu trzyma krzyż. Ubrany jest w błyszczącą, bordową szatę z aksamitu, z kołnierzem i rękawami podkreślonymi biało-żółtymi kryzami przypominającymi dwór Filipa II. Na głowie ma koronę cierniową z trzema złotymi odnogami symbolizującymi Boski blask. Figurę wykonano z ciemnego drewna (najprawdopodobniej z mahoniu lub hebanu albo czarnego mesquite, który był powszechnym materiałem do wykonywania świętych obrazów w Ameryce Południowej), które przez lata wycierania olejkiem różanym i perfumami stało się jeszcze ciemniejsze.

Jedno z bardziej wątpliwych twierdzeń strony internetowej poświęconej filipińskim festiwalom, a także Wikipedii, które podają, że kiedy figura wypływała z Meksyku, była z kości słoniowej, ale na filipińskie wybrzeże dotarła tak czarna, jak jest teraz, po rzekomym ocaleniu z pożaru statku. Stąd też nazwano ją Czarnym Nazarejczykiem.

W ciągu dwóch dekad od przypłynięcia figury ojcowie rekolekci rozpowszechnili nabożeństwo do Chrystusa niosącego krzyż. 20 kwietnia 1621 r. papież Innocenty X uprawomocnił kult Czarnego Nazarejczyka, a dwadzieścia dziewięć lat później uznał Bractwo Pana Jezusa z Nazaretu. Biskup Manili Basilio Sancho de Santas Junta y Rufina 9 stycznia 1787 r. przekazał tę figurę do kościoła w Quiapo.

NAZAREJCZYK W QUIAPO

Jedna z legend, które krążą wśród mieszkańców, opowiada, w jaki sposób Czarny Nazarejczyk „wybrał" kościół w Quiapo na swoją świątynię. Otóż podczas jednej z noworocznych procesji zaczął padać deszcz. Ludzie wraz z figurą schronili się w kościele i czekali aż ulewa ustanie. Kiedy mieli wznowić procesję, niosący figurę byli zaskoczeni, czując, że stała się niewiarygodnie ciężka. Wywnioskowali wówczas, że Chrystus nie chce opuścić kościoła.

Oczywiście jest to tylko jedna z legend, prawie tak nieprawdopodobna jak kość słoniowa zmieniająca się w hebanową czerń w ogniu. Ostatnim odkryciem jest twierdzenie, że Czarny Nazarejczyk znajdujący się w kościele w Quiapo jest tylko repliką tego pierwszego, który towarzyszył załodze galeonu w drodze powrotnej z Meksyku. Augustianie rekolekci zamówili ponoć drugiego Czarnego Nazarejczyka z Meksyku, również wyrzeźbionego przez meksykańskiego rzemieślnika, by zostawić go w kościele św. Jana Chrzciciela w Bagumbayan. Miał to być ten, który został przeniesiony do kościoła Quiapo. ■

tekst: DK. BENOIT AZAMETI MCCJ

Bóg kocha ubogich

Kochani! Pozdrawiam Was serdecznie z Togo. Będąc we własnej ojczyźnie, na ziemi misyjnej, i spotykając ludzi najbardziej opuszczonych i ubogich, w moim sercu rozbrzmiewają słowa Jezusa skierowane do uczniów i tłumów, którzy przyszli Go słuchać: *Błogosławieni jesteście wy, ubodzy, albowiem do was należy królestwo Boże. Błogosławieni wy, którzy teraz głodujecie, albowiem będziecie nasyceni* (Łk 6, 20b-21a). Te dwa błogosławieństwa kieruje również dzisiaj do nas. A jak te słowa zrozumieli uczniowie i tłum, kiedy usłyszeli je z ust Pana? Jak my je dzisiaj rozumiemy? Czy to znaczy, że Bóg kocha ubóstwo i nędzę swoich dzieci?

Słowa tych błogosławieństw były, bez wątpienia, radosną nowiną dla wszystkich, którzy je usłyszeli bezpośrednio od Jezusa. Byli bowiem ubodzy i spodziewali się wyzwolenie Izraela. Te słowa były dla nich gwarancją, że Bóg nigdy nie opuszcza swoich dzieci. Jednak tutaj nie chodzi o ubóstwo duchowe, lecz o prawdziwy głód. Ewangelista Łukasz zwraca uwagę na rzeczywiste ubóstwo ludzi, którzy cierpią w swoim ciele i głosi, że Bóg osłania ubogich, ponieważ są bezbronni. Bóg jest szczególnie przy nich i obiecuje im dobro, które przewyższa wszelkie inne dobro... Królestwo Boże. Bóg jest źródłem prawdziwej radości dla tych, którzy cierpią, ale to nie znaczy, że kocha cierpienie i ubóstwo.

Kiedy w naszym życiu pojawiają się problemy, trudno jest nam odnaleźć pokój i szczęście. Czasem nawet sobie myślimy, że Bóg nas zostawił, czujemy się bowiem opuszczeni przez Niego. W Togo doświadczam wiele radości przy ludziach, którzy ze względu na swoje ubóstwo mogliby się oddalić od Boga, a jednak ufają i dziękują Mu za to, ca mają. Aby Mu wyrazić swą wdzięczność, podczas celebracji Eucharystii przynoszą do ołtarza to, co mają: warzywa, zwierzęta, wodę, kukurydzę, mąkę...To wszystko przeznaczone jest dla kapłanów i dla najbardziej osób potrzebujących. To wyraz prawdziwej miłości i solidarności między ubogimi. Spotkałem kiedyś starszą kobietę, która mi powiedziała, że kto raz doświadczył głodu, nigdy nie pozwoli drugiemu człowiekowi przeżyć dnia bez jedzenia. Z doświadczenia wiem, że ludzie, którzy najwięcej się dzielą z innymi to nie ci, którzy mają wiele, a wręcz odwrotnie, to ci co mają mało. Bieda i ubóstwo, w jakim przychodzi dzisiaj żyć wielu ludziom, nie pochodzą od Boga, lecz od człowieka, który nie myśli o innych i nie chce się dzielić tym, co posiada.

Bóg nie kocha cierpienia i nędzy swoich dzieci. Dzisiaj wszyscy chcą być bogaci. Nasz świat jednak podzielony jest na dwie części. Z jednej strony są bogaci, a z drugiej ludzie którzy pragną być bogaci. To pragnienie sprawia, że człowiek jest zawsze przeciwko człowiekowi. Zdarza się, widzę to w Togo, że ubodzy się cieszą, ponieważ wierzą, że pójdą do królestwa Bożego. Ono należy do nas nie dlatego, że jesteśmy ubodzy, ale dlatego, że nasza sytuacja prowadzi do ufności w Bogu i do całkowitego poddania się Jemu. Prawdziwy ubogi, którego Bóg kocha, ma otwarte serce, ufa Mu, nie jest obojętny i wie, jak dzielić się z innymi tym, co posiada.

Kochani, czujmy się zaproszeni do walki z ubóstwem w naszym świecie i patrzenia na współczesny świat oczami Boga, który nie cieszy się z nędzy swoich dzieci. I niech nikomu nie braknie tego, co jest niezbędne do życia. ■

tekst: EWELINA GWÓŹDŹ, ŚMK

Kalwinizm, wiara w przeznaczenie?

Jeśli ktoś liczył na to, że wystąpienia Marcina Lutra przejdą bez większego echa w krajach europejskich, bardzo się rozczarował. Stały się one bowiem inspiracją dla prawie wszystkich pozostałych nurtów protestanckich, w tym kalwinizmu, drugiego pod względem liczby wiernych.

Kalwinizm wywodzi się ze Szwajcarii, a za jego twórcę uznaje się Jana Kalwina, od którego nazwiska ruch wziął nazwę. Jednakże prekursorem szwajcarskiej myśli reformacyjnej był teolog i kaznodzieja Huldrych Zwingli. Natomiast Jan Kalwin był organizatorem życia duchowego podczas reformacji w Szwajcarii i to on nadał ostateczną postać ruchom reformacyjnym w tym kraju. W kręgach uniwersyteckich, w których przebywał, popularne były pisma Lutra. Dodatkowo dla młodego Kalwina renesansowy model nauczania był dużo bardziej atrakcyjny niż stary, scholastyczny model katolicki. To wszystko przyczyniło się do jego oddalenia od katolicyzmu, a pchnęło w nurt protestancki.

Genewa, w której Kalwin przebywał przez ponad dwadzieścia lat, stała się pierwszym miejscem, w którym powstał i rozwijał się nowy Kościół, z czasem coraz bardziej podobny do luterańskiego, a coraz mniej do katolickiego. Podobnie jak Luter, Kalwin odrzucił kult świętych, Matki Bożej, a także obrazów i relikwii. Był w tym tak rygorystyczny, że często w świątyniach nie było nawet krzyża. Zrezygnował też z hierarchii w Kościele (w tym także ze zwierzchnictwa papieża), a pastorzy jako urzędnicy kościelni mieli być wybierani przez wiernych. Kalwinizm narzucał dosyć surowy styl życia, bez zabaw, tańców i innych rozrywek, natomiast propagował częste czytanie Pisma Świętego. Podobnie jak w innych odłamach protestantyzmu, kalwinizm

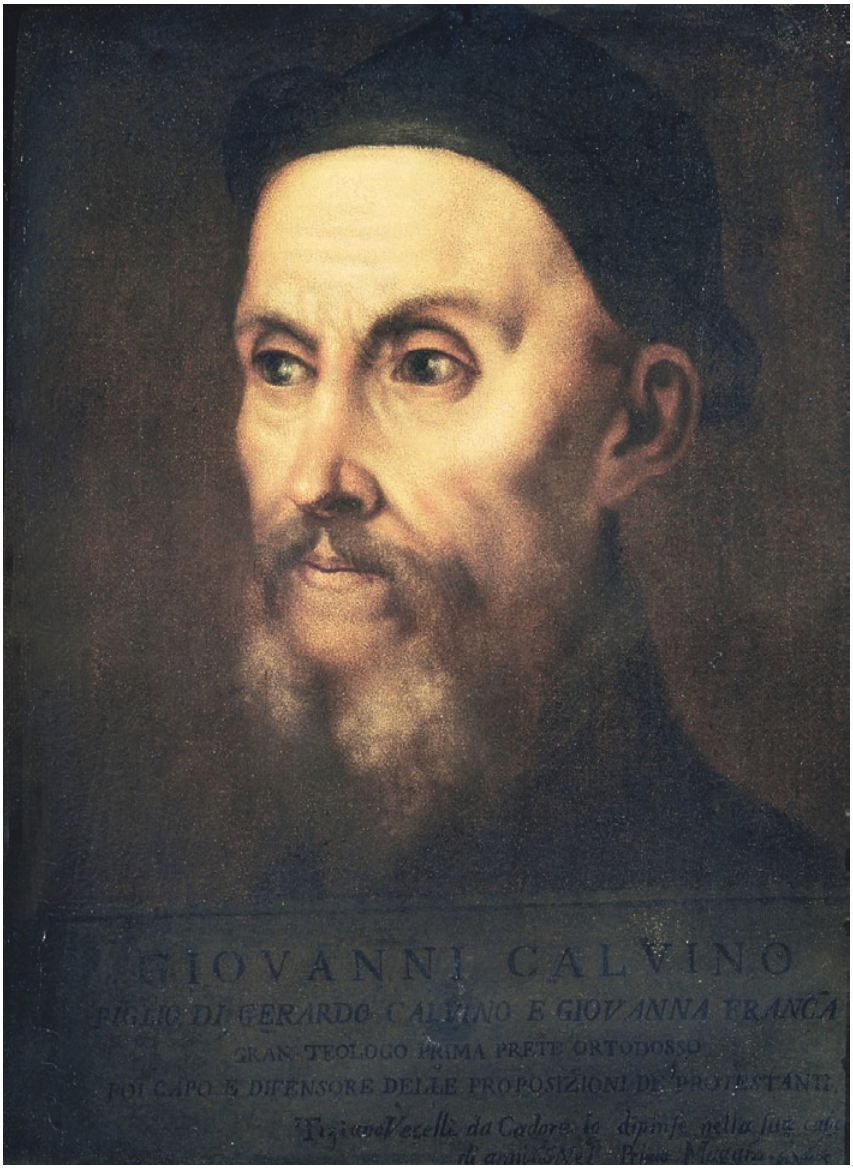

uznawał, że Biblia jest najwyższym autorytetem w sprawach wiary i źródłem zbawczej prawdy. Objawienie Boże zawarte w księgach biblijnych jest punktem wyjściowym całej teologii. Właśnie dlatego każdy wierny powinien czytać Pismo Święte systematycz-

nie, najlepiej codziennie. Kalwini, tak jak reszta chrześcijan, przyjęli zasadę „nie ma zbawienia poza Kościołem". Kościół jest dla nich wspólnotą wybranych, wierzących w Chrystusa i żyjących Jego nauką, z założenia więc uznają za Kościół wszystkie nurty chrześcijańskie, o ile żyją w duchu Ewangelii, co ma wymiar bardzo tolerancyjny i ekumeniczny.

W doktrynie, którą stworzył Kalwin, można zauważyć dwie nowe nauki.

> Pierwszą nauką, i chyba najbardziej kojarzoną z kalwinizmem, jest nauka o predestynacji, czyli przeznaczeniu, wybraniu.

Mówi ona, że każdy człowiek w momencie narodzin jest już z góry wybrany albo do zbawienia, albo do potępienia i żadne jego uczynki czy wybory tego nie zmienią. Podobne nauki znane były już w V wieku, a przyczynił się do tego sam św. Augustyn. Głosił on, że co prawda człowiek ma wolną wolę do czynienia dobra lub zła, ale łaska Boża jest człowiekowi niezbędna do zbawienia, bez niej, nawet mimo dobrych uczynków, nie może być zbawiony. Współcześni mu, nie mogąc pogodzić jednocześnie nauki o wolnej woli i łasce Bożej, uzależnili człowieka całkowicie od Bożej woli, w efekcie uznając, że nasze uczynki nie mają żadnego znaczenia. Augustyn pisał o przedwiedzy i wszechwiedzy Boga, który wie, jakie będą nasze wybory w przyszłości i na ich podstawie może jednych przeznaczyć do zbawienia, a innych do potępienia. Nigdy nie zminimalizował znaczenia czynów człowieka.

Jednak Kalwin w tym właśnie duchu zinterpretował nauczanie Augustyna. Trzeba podkreślić, że Kalwin nigdy nie chciał wskazać już tu, na ziemi, którzy ludzie mieli należeć do grona zbawionych, a którzy będą potępieni. Wręcz wzywał, aby wszyscy żyli i zachowywali się tak, jakby byli przeznaczeni do zbawienia. Co ciekawe, doktryna o tym, że Bóg nie chce zbawienia wszystkich ludzi, skoro jednych z góry przeznaczył na potępienie, wydała się samym zwolennikom nowego nurtu tak radykalna, że wiele Kościołów reformowanych w Niemczech, na Węgrzech, a także w Polsce ją odrzuciło.

Obecnie ta nauka głosi raczej tezę o powszechnym porządku zbawczym Boga. Jezus umarł za wszystkich ludzi i wszystkich zaprasza do wiary w Niego. Ci, którzy świadomie odrzucą Jego ofiarę, będą potępieni, w efekcie więc część ludzi będzie zbawiona a część nie. Jednak los pojedynczego człowieka nie jest z góry ustalony, przez całe swoje życie dąży albo do nieba, albo do piekła i dopiero na Sądzie Ostatecznym okaże się, gdzie trafi. Pierwotną teorię o z góry zaplanowanym przeznaczeniu człowieka do zbawienia lub do potępienia wyznają już tylko ultrakonserwatywne Kościoły w Holandii i USA.

> Druga nauka, odmienna od innych nurtów protestanckich, dotyczyła sakramentów. Podobnie jak Luter, Kalwin uznawał tylko dwa sakramenty: chrzest i Eucharystię.

Jednakże w odróżnieniu od Lutra widział w Komunii św., co prawda rzeczywistą, ale jedynie duchową a nie materialną obecność Chrystusa. Nowa doktryna znalazła dużo wyznawców w wielu krajach, w tym w Rzeczypospolitej Obojga Narodów (zwłaszcza w Małopolsce). Za czasów reformacji było to trzecie, po katolicyzmie i prawosławiu, wyznanie w kraju oraz dominująca religia wśród szlachty. Wielu znanych działaczy politycznych wyznawało doktrynę kalwińską, m.in. Mikołaj Rej, Andrzej Frycz Modrzewski czy Jan Łaski (główny propagator nurtu).

Obecnie w Polsce jest około 3500 wyznawców doktryny kalwińskiej zrzeszonych w Kościele Ewangelicko-Reformowanym, Kościele Dobrego Pasterza oraz w Konfederacji Kościołów Reformowanych. W Kościołach reformowanych nie ma niedzielnych ani świątecznych Mszy Świętych. Są nabożeństwa jako istotny element kultu religijnego i składają się z kilku części: modlitw mówionych i śpiewanych (pieśni), publicznego wyznania wiary, wyznania grzechów, kazania oraz sakramentu Wieczerzy Pańskiej pod dwiema postaciami. Co ciekawe, Komunia św. nie jest udzielana podczas każdego nabożeństwa, zazwyczaj jest to raz w miesiącu oraz w święta. Podczas nabożeństw udziela się także sakramentu chrztu i błogosławi związki małżeńskie. Pokuta, mimo że nie ma formy sakramentu, jest również istotnym elementem w nauce Kościołów reformowanych. I choć nie ma obowiązku spowiedzi indywidualnej, zawsze można zwrócić się do pastora ze swoimi problemami duchowymi.

W doktrynie kalwińskiej znajdziemy, z pewnością, kilka aspektów, które mogą wydać się nam niezrozumiałe lub trudne do zaakceptowania. Ale możemy też znaleźć w niej nauki, które uznamy za bardzo logiczne, może nawet bardziej niż te, które znamy w Kościele katolickim. Jednak żadne z tych aspektów nie powinny być przyczyną konfliktów, pogardy czy niechęci do bliźniego. Większa wiedza o Kościołach wyznających doktrynę kalwińską ma służyć zbliżeniu i pielęgnowaniu braterskich stosunków między chrześcijanami. ■

rozmawia: BR. TOMEK BASIŃSKI MCCJ

Pasja według Ryszarda Krawca

Chrystusie...

Nawet dziś,
w szalonym życia pędzie,
Nie muszę Ciebie szukać
– bo jesteś wszędzie!
A kiedy w kształcie gałęzi Cię znajduję
I rany Twe w ich słojach i sękach
Przeżywam, wówczas naprawdę czuję,
Iż zapisana w nich Twoja Męka,
Jest bardzo ludzka.
I nie mogę zaprzeczyć,
Żeś mi jest wtedy bliższy,
bo tak bardzo – człowieczy.

Nie tak dawno usłyszałem o pewnym lekarzu z Puszczykowa pod Poznaniem. Nazywa się Ryszard Krawiec i jest neurologiem i radiologiem. Jest również rzeźbiarzem i poetą. Od ponad czterdziestu lat rzeźbi z gałęzi sosny postaci cierpiącego i umierającego Chrystusa. Postanowiłem zadzwonić do pana Ryszarda i umówić się na wywiad. Tak też się stało i niebawem spotkałem tego niezwykłego człowieka i zobaczyłem jego piękne prace.

Na początek chciałbym Pana prosić o kilka informacji o sobie. O swoim domu rodzinnym, o dorastaniu w wierze...

Wywodzę się z rodziny tradycyjnie katolickiej. W domu obchodziliśmy wszystkie święta kościelne. Rodzice uczyli nas ważności wszystkich tych świąt i uroczystości. A wartości, o których mówiło się w kościele, były wartościami, którymi żyliśmy na co dzień.

Mama była pielęgniarką i chyba wrażliwość na drugiego człowieka wyssałem z jej mlekiem. Od małego chodziłem z nią do chorych i przyglądałem się, jak się nimi opiekuje, robi zastrzyki czy zmienia opatrunki. Pewnie dlatego zostałem lekarzem i lubię pomagać innym. Tato, z kolei, był złotą rączką i to prawdopodobnie po nim odziedziczyłem talent rzeźbiarski. Czasem mówię, że na medyka poszedłem nie tylko dzięki mamie, ale i tacie. Bo on wszystko, co się zepsuło w domu, naprawiał. Człowieka też się przecież naprawia... Tylko potrzeba trochę więcej umiejętności i cierpliwości.

Czy rozeznawał Pan zostanie lekarzem jako swoje powołanie?

Na pewno w tym była iskra Boża, bo dziś jestem szczęśliwy jako lekarz i czuję, że to jest moja droga. Gdybym jeszcze raz miał wybierać zawód, na pewno wybrałbym tak samo.

A jak zaczęła się Pana pasja rzeźbiarska?

Od dziecka lubiłem tworzyć jakieś niewielkie rzeczy, łódeczki z kory czy kapliczki. Później była dość długa przerwa. Dopiero kiedy po studiach przeprowadziliśmy się z żoną do Międzyrzecza, tam zrobiłem pierwszego Chrystusa na krzyżu do naszego mieszkania i mamy go do dzisiaj. Zaś do kaplicy szpitala, w którym przepraco-

waliśmy z żoną niemal 40 lat, wykonałem ok. 2 metrową pracę, która na stałe zawisła w jej kruchcie.

Od czasu do czasu ten Chrystus proszący się o moją, powiedzmy, interwencję, pojawiał się w moim życiu. W połowie lat 80. erygowano nowy kościół w Bobowicku niedaleko Międzyrzecza. Podczas jednej z Mszy zobaczyłem, że wiszący tam Chrystus nie ma ręki. Pomyślałem, że przecież mogę mu ją dorobić. Później jednak stwierdziłem, że nie będę jej dorabiał, ale od nowa zrobię Chrystusa. I to wtedy powstał mój pierwszy Chrystus wykonany z gałęzi sosny.

O czym Panu przypomina Chrystusowy krzyż?

Dla mnie Chrystus jest symbolem najwyższej klasy altruizmu, oddania się, największej ofiary... Nie myśląc o sobie, oddał swoje życie za nas wszystkich, za mnie też. Ja chyba tak bym nie potrafił.

Niektórych może dziwić, że wyrzeźbiony przez Pana Chrystus jest powyginany, niekształtny... Co Pan chce przez to powiedzieć?

Staram się, żeby każda z tych pasyjek mówiła, a nawet krzyczała. Najczęściej o cierpieniu, bo nie wyobrażam sobie, żeby skatowany i przybity do krzyża Chrystus nie wyginał się z bólu, nie krzyczał... On naprawdę cierpiał! I to jak On cierpiał, jak człowiek potrafi cierpieć, chcę przekazać poprzez swoje rzeźby. Z drugiej strony, te prace mówią o przyrodzie, o tym jak wiele z niej można wydobyć, nawet Chrystusowe cierpienie.

Jaki wpływ wykonywany zawód miał na Pańskie rzeźby?

Zostałem lekarzem, kiedy medycyna nie była jeszcze tak rozwinięta jak dzisiaj. Kiedyś nie było środków np. wyłączających człowieka podczas napadu padaczkowego. Widziałem ludzi wijących się z bólu, ludzi którym nie mogliśmy ulżyć w cierpieniu fizycznym. Dziś jest inaczej, medycyna bardzo poszła do przodu, ale dawniej człowiek skręcający się z bólu często skazany był na cierpienie, w którym ulgę przynosiła tylko śmierć. A powtórzę, że nie wierzę, żeby Jezus był spokojny podczas biczowania czy spokojnie wisiał na krzyżu. Choćby dlatego, że każdy ból wymagał zmiany pozycji, by go zmniejszyć, ale za chwilę nowa pozycja wyzwalała kolejny ból. Trzeba było ją też zmienić... I tak dalej. On musiał nieprawdopodobnie cierpieć.

Czasem się mówi, że cierpienie uszlachetnia. Ale czy rzeczywiście tak jest?

Nie jestem co do tego przekonany. Może uszlachetniać, jeżeli tak jak u Chrystusa kończy się czymś więcej: Zmartwychwstaniem. W Fatimie jest droga krzyżowa, która ma piętnaście stacji. Ostatnią jest *Zmartwychwstanie*. Tak powinno być! Ale kiedy jest rezygnacja, bo cierpienie nas przerasta, to nie wiem, na ile to może uszlachetniać człowieka. Trzeba podkreślać i przypominać ludziom, że każde cierpienie, to najmniejsze i to największe, ma sens, bo koniec będzie szczęśliwy. Musimy przypominać tym, którzy cierpią, że jest to pewien etap w życiu. Ludziom wierzącym jest znacznie łatwiej, ponieważ wierzą, że Bóg jest i nad wszystkim czuwa, że dzięki tej bezgranicznej ofierze Chrystusa, zmartwychwstaniemy. Jeżeli jednak ktoś nie wierzy i w jego życiu nie ma Boga, to jak mówić o zmartwychwstaniu?

Dlaczego Pana krzyże są niepomalowane?

Bo nie ma takiej potrzeby. Na moich rzeźbach nie maluję kropli krwi czy ran, ponieważ te rany „maluje" samo drewno i jego budowa. Czasem są one większe, czasem mniejsze. Słoje często tak się układają, że pokazują napięcie mięśni. Poza tym bardzo lubię zapach sosny i lubię patrzeć na słoje.

Dla ikonografa pisanie ikon to rodzaj modlitwy. Czy dla Pana rzeźbienie też jest modlitwą?

Absolutnie tak. Oczywiście nie oznacza to, że poza tą pracą się nie modlę. Dopiero teraz, na emeryturze, widzę, jak życie szybko upływa, więc staram się wykorzystywać różne chwile żeby się modlić.

Podobno podarował Pan swoje rzeźby Janowi Pawłowi II. Jak Pan wspomina te chwile?

W roku 1983 pojechaliśmy na pielgrzymkę do Rzymu i wtedy nadarzyła się okazja, żeby wręczyć Ojcu Świętemu którąś z moich prac. Wymyśliłem, że na jednym kawałku kory wyrzeźbię dla niego całą drogę krzyżową. Kiedy Jan Paweł II podszedł do nas w Sali Klemetyńskiej, zatrzymał się i zapytał, czy ma pobłogosławić tę drogę krzyżową. Odpowiedziałem, że to nasz dar dla niego, a on popatrzył i zapytał czy to z polskiego drewna. Potwierdziliśmy, wtedy odpowiedział: „To wezmę".

Wystawiał Pan swoje prace w różnych miejscach…

Lata osiemdziesiąte i dziewięćdziesiąte ubiegłego wieku były szczególne. Nie chcę oceniać, ale mam wrażenie, że wtedy ludzie więcej się modlili, byli bardziej otwarci i wrażliwi. Zorganizowanie wystawy nie było trudne, ale było czymś szczególnym, wyzwalało inicjatywę ludzką w parafii, ludzie wokół tych krzyży tworzyli wspólnotę. Również zainteresowanie na wieczorach autorskich było bardzo duże. Mogłem wtedy recytować swoje wiersze związane z tym wydarzeniem. W różnych miejscach wystawiałem swoje prace, głównie w ośrodkach i domach kultury, bibliotekach, kościołach, ale także w galeriach u nas w kraju, ale zdarzało się też za granicą.

Szczególnie zapadła mi w pamięć jedna wystawa, którą zorganizowano w seminarium duchownym. Zawiozłem wszystkie krzyże, które miały być wówczas wystawione, pokazałem albumy z przykładami poprzednich wystaw i zostawiłem, żeby gospodarze sami zaaranżowali wystawę. Dzień przed otwarciem pojechałem, żeby zobaczyć, jak to zostało zrobione. Przy wejściu, na skrzyżowaniu korytarzy, stał jeden Chrystus. Jednym z korytarzy szło się do kaplicy. Myślałem, że to tam właśnie będzie wystawa. Ale nie. W drodze do kaplicy ustawiono dwa wieszaki na ubrania i na nich powieszono krzyże. Gdzieś w jednym czy drugim oknie położono też kilka z nich.

Czy dobrze rozumiem, że zrobili to byle jak, bez pomysłu?

Dokładnie. Choć czułem się w tej sytuacji dość niezręcznie, to jednak cieszyłem się, że w ogóle ta wystawa została zorganizowana. Moja synowa widząc to, powiedziała: „Tato, co oni zrobili z tymi Chrystusami? Jak to wygląda?”. Kiedy podszedłem do mikrofonu, żeby omówić i przedstawić swoje prace, Duch Święty, który z pewnością czuwał też nad aranżującymi wystawę, jak to On, podpowiedział mi, w jaki sposób skomentować tę nietypową ekspozycję: „Jaką intuicję mieli ci, którzy ustawiali te krzyże, zobaczcie – powiedziałem. – Pokazali to, co tak naprawdę dzisiaj jest. Z jednej strony chcąc zainteresować Chrystusem, postawili Go na rozdrożu, ale potem idąc w kierunku kaplicy, powiesili Go na wieszakach na ubrania. Dzisiaj tak jest: jeśli potrzebujemy Chrystusa, to Go zdejmujemy, pokazujemy, że jesteśmy katolikami, a jeżeli nam się nie podoba, to z powrotem Go odstawiamy na wieszak”.

A jak jest obecnie?

Teraz mam wrażenie, że mało kogo interesują te prace. Z jednej strony myślę, że jest to spowodowane pandemią i tym, że nie organizuje się wystaw, spotkań. Z drugiej jednak strony czuję, że jest pewna znieczulica. Ale wierzę, że jeśli Bóg będzie chciał, to dotrze z tymi Chrystusami do kogo potrzeba.

Panie Ryszardzie, bardzo dziękuję za spotkanie. Życzę Panu tej łaski, żeby Chrystus przez Pana rzeźbiony wciąż przemawiał do ludzi i stawał się im bliski.

Bardzo Bratu dziękuję.

Zwycięstwo

Nie trzeba zbytniej wiedzy ani filozofowania,
By zrozumieć, że wstępem do naszego pojednania
Z Bogiem, była Judaszowa zdrada i ucałowanie.
Zaś męka Jezusa i ukrzyżowanie
Były konieczne dla Cudu naszej Nadziei,
czyli Zmartwychwstania.

tekst: O. JUAN GONZÁLEZ NÚÑEZ MCCJ

Nasza obecność w Etiopii

Wśród nowości, które przyniosła ta, niestety, słynna pandemia Covid-19, jest również to, że nie pozostawia wiele miejsca na działania charytatywne lub heroizm na rzecz innych. Dawniej w czasie zarazy ktokolwiek decydował się pomóc chorym, mógł całkowicie poświęcić się ogarniętej epidemią ziemi, nawet ryzykując życiem. Robili to ludzie, którzy później zostali ogłoszeni świętymi, tacy jak Louis Gonzaga, Ludwik IX – król Francji czy Daniel Comboni. Teraz jednak jest to zabronione. Jesteśmy w super zorganizowanym społeczeństwie, które działa zgodnie z naukowymi kryteriami higieny, a powiedziano nam, że najlepszym sposobem pomocy innym jest pozostawanie w domu, aby zmniejszyć ryzyko zarażenia. Jednakże zawsze jest miejsce na wspaniałomyślność, nawet w czasach koronawirusa.

Piszę to wszystko z takiego zakątka Afryki, gdzie, dzięki Bogu, koronawirus „jeszcze" nie dotarł i gdzie rządowe środki izolacji nie są tak drakońskie jak w Europie. Ale wciąż jesteśmy ograniczani na wiele sposobów przez wirusa, który jest jak miecz Damoklesa, wiszący groźnie nad naszymi głowami. Mieszkam na misji Gilgel Beles w Etiopii z dwoma młodymi Świeckimi Misjonarzami Kombonianami: Hiszpanem i Portugalczykiem, którzy przybyli tu rok temu. Wtedy nic jeszcze nie zapowiadało koronawirusa, przyjechali więc pełni entuzjazmu, aby zrobić wiele dobrych rzeczy dla innych. Bezinteresownie oddawali się takim posługom jak nauczanie wszystkiego, czego byli w stanie nauczyć, odwiedzanie wiosek, zabieranie do ośrodka zdrowia chorych, którzy znaleźli się na ich drodze... Ciężko pracowali, aby jak najlepiej wykorzystać dwuletni okres ich pracy misyjnej. I wówczas, nieoczekiwanie, w połowie ich pracy pojawiła się pandemia. Wiele organizacji wzywało swoich członków do powrotu do kraju pochodzenia. Oni również zostali wezwani. Gdyby zostali, to na własną odpowiedzialność. Nie wahali się jednak przed wyborem, pozostali „na własną odpowiedzialność", nawet wtedy, gdy matka jednego z nich czekała na operację onkologiczną, a oni sami cierpieli na ciągłe ataki tyfusu, który bardzo osłabił ich organizmy.

I tak trwamy. Jak wspomniałem, środki ograniczające rozprzestrzenianie się wirusa nie są szczególnie surowe. Zakres ruchu jest nadal dość szeroki, przynajmniej tak długo, dopóki nie pojawią się pierwsze infekcje na naszym obszarze. Jednak cały rytm działań ucierpiał. Z całkowicie sparaliżowanym życiem akademickim i zakazem spotkań ci młodzi mężczyźni nie mogą już uczyć grup, a biblioteka, którą otworzyli, nie ma już czytelników.

Pomimo tych wszystkich ograniczeń starają się przetrwać. Przywiązali się do miejscowych ludzi i chociaż nie mogą zrobić „dla nich" wielu rzeczy, to mogą „z nimi być". I czują, że prosta obecność w tych chwilach ucisku jest wartością, która sama w sobie wystarczy zarówno na przyjazd na misje, jak i pozostanie tu tak długo, jak to możliwe. ■

tekst: O. PAWEŁ OPIOŁA MCCJ

Święty Józef wzorem troskliwego ojca

Drodzy Młodzi, w poprzednich numerach naszego czasopisma opowiedziałem Wam o młodych misjonarzach, takich jak Helena Kmieć czy błogosławiony Carlo Acutis. Tym razem pragnę Wam przedstawić świętego Józefa z Nazaretu, Oblubieńca Maryi i Opiekuna Jezusa, który – jak powiedział święty Jan Chryzostom – „stał się sługą powszechnego zamysłu zbawczego".

W dniu 8 grudnia 2020 r. papież Franciszek ogłosił Rok św. Józefa, który zakończy się 8 grudnia tego roku. Okazją do ogłoszenia była 150. rocznica ustanowienia Opiekuna Jezusa patronem Kościoła powszechnego. Papież opublikował list apostolski *Patris Corde,* co w tłumaczeniu z języka łacińskiego oznacza „ojcowskim sercem". Te słowa odnoszą się do świętego Józefa, który ojcowskim sercem pokochał Jezusa. W Kościele katolickim miesiąc marzec tradycyjnie poświęcony jest temu świętemu. Tak więc wszystkie wspomniane okoliczności sprawiają, że konieczne jest poznanie tej wspaniałej postaci, której przykład życia inspiruje wielu chrześcijan z całego świata.

OJCIEC UMIŁOWANY

Od samych początków chrześcijaństwa święty Józef cieszył się szczególnym umiłowaniem przez lud Boży. Jego postawa od zawsze budziła podziw i uznanie. A dlaczego? Dlatego, że zrezygnował z własnych planów na życie, z fizycznej bliskości ukochanej kobiety i z marzenia o biologicznym ojcostwie. Józef zakochał się w Maryi i wybrał Ją na swoją małżonkę. Ona też spoglądała na niego łaskawym okiem. Józef nie wiedział, że Maryja jest już „zajęta" przez samego Boga. Wiemy to z dogmatu o Niepokalanym Poczęciu. Maryja od samego początku była przygotowywana, żeby urodzić Jezusa, Syna Bożego. Obojgu objawił się anioł oznajmiając Maryi, że pocznie Syna Bożego mocą Ducha Świętego, a Józefowi, żeby się nie lękał wziąć do siebie Maryi, bo Dziecko, które nosi pod sercem, nie jest owocem cudzołóstwa. Oboje byli świadomi nadzwyczajnego wydarzenia w ich życiu, czegoś bardzo

trudnego do zrozumienia, ale bezgranicznie zaufali Bogu i pozwolili Mu się prowadzić. Papież Paweł VI postawę Józefa streścił w słowach: „Przekształcił swe ludzkie powołanie do rodzinnej miłości w ponadludzką ofiarę z siebie, swego serca i wszystkich zdolności, w miłość oddaną na służbę Mesjaszowi". Przez tę postawę zyskał sobie miłość całego ludu Bożego.

Wielu świętych, jak np. Daniel Comboni czy Teresa z Avila, było gorliwymi czcicielami świętego Józefa. Dla Comboniego był on niezawodnym ekonomem, który zawsze znajdował potrzebne środki do prowadzenia misji w Afryce. Dla Teresy natomiast „adwokatem", za pośrednictwem którego zawsze otrzymywała to, o co prosiła. Dla wielu ludzi, kapłanów, osób konsekrowanych Bogu jest bliskim przyjacielem, który uczy odwagi, posłuszeństwa, służebności i miłości. Oto jedna z pięknych modlitw, która może posłużyć osobistej modlitwie i obraniu sobie świętego Józefa za przyjaciela:

„Chwalebny Patriarcho, święty Józefie, w którego mocy jest uczynienie możliwym tego, co niemożliwe, spiesz mi na pomoc w chwilach niepokoju i trudności. Weź pod swoją obronę sytuacje bardzo poważne i trudne, które Ci powierzam, by miały szczęśliwe rozwiązanie. Mój ukochany Ojcze, w Tobie pokładam całą ufność moją. Niech nie mówią, że przyzywałem Ciebie na próżno, a skoro z Jezusem i Maryją możesz wszystko uczynić, ukaż mi, że Twoja dobroć jest tak wielka jak Twoja moc. Amen".

OJCIEC CZUŁY

Święty Józef widział w Bogu czułego Ojca. W synagodze, z pewnością, wielokrotnie słyszał proroka Ozeasza, który mówił: „Umiłowałem Izraela, gdy jeszcze był dzieckiem. Brałem go na swoje ramiona, byłem dla niego jak ten, który podnosi do swego policzka niemowlę, schylałem się ku niemu, aby go nakarmić". Józef uczył się czułości ojcowskiej od samego Boga Ojca. A Jezus widział w Józefie tę czułość Boga i promieniował nią. Był szczęściarzem, że miał takiego tatę jak Józef i taką mamę jak Maryja. Mając tak wspaniałych rodziców, wzrastał „w mądrości, w latach i w łasce u Boga i u ludzi" (Łk 2,52).

Jezus doświadczając od swoich rodziców czułości, przekładał ją na relacje z ludźmi. Jak bowiem dobrze wiemy, czułość to tkliwa miłość i serdeczność wobec innych. Dotykał więc trędowatych, kiedy wszyscy inni uciekali od nich. Przebaczał grzesznikom, kiedy inni ich potępiali. Uzdrawiał chorych, kiedy inni ich wykluczali. Dodawał otuchy wątpiącym, kiedy oni sami tracili wiarę i nadzieję. Kochał wszystkich bezwarunkowo, a Jego miłość uzdrawiała ich na ciele i duszy.

Myślę, że w życiu są cztery bardzo ważne miłości potrzebne człowiekowi, aby mógł wzrastać i dojrzewać. Pierwsza to miłość matki, druga to miłość ojca, trzecia to miłość ich obojga, a czwarta to miłość samego Boga. Pierwsze trzy mogą zawieść, jak to czasem w naszym życiu, na nieszczęście, się zdarza. Ale miłość Boga jest niezawodna „bo góry mogą ustąpić i pagórki się zachwiać, ale miłość moja nie odstąpi od ciebie" (Iz 54, 10).

> Święty Józef uczy nas nie tylko o czułości wobec innych, ale również wobec samego siebie. A Ty jak patrzysz na siebie?

Czy robisz to z czułością, ciepłem i akceptacją? Być dobrym dla siebie to nie egoizm! Miłość wobec siebie oznacza być dobrym dla siebie. Nie chodzi tutaj o pobłażliwość własnym wadom czy grzechom. Chodzi o szacunek do siebie i akceptację samego siebie, takim jakim stworzył mnie Bóg.

OJCIEC SPRAWIEDLIWY

Ewangeliści wymieniają świętego Józefa w swoich Ewangeliach zaledwie kilka razy i opisują go jedynym przymiotnikiem „sprawiedliwy", czyli uczciwy, wierny Prawu Bożemu i dobrze traktujący innych. Józef z pewnością cieszył się społecznym szacunkiem, był

pracowity, odważny i odpowiedzialny. Według mnie są cztery rzeczy, które mówią o jego sprawiedliwości. Pierwsza to taka, że akceptuje „białe" małżeństwo z Maryją. Który mężczyzna dzisiaj zaakceptowałby z własnej woli małżeńskie życie w czystości? Druga rzecz, że akceptuje nie swoje dziecko? Który młody mężczyzna chciałby kobietę z dzieckiem? Pewnie niewielu. Józef, z pewnością, musiał do tej decyzji dojrzeć. Był przecież z krwi i kości jak inni mężczyźni. Był obciążony grzechem pierworodnym jak reszta ludzkości. Trzecia rzecz to jego reakcja, kiedy dowiedział się, że Maryja jest w ciąży. Pragnął Ją oddalić, ale w tym geście jest heroizm miłości. Wolał wziąć winę na siebie i zhańbić się opinią mężczyzny, który porzucił kobietę w ciąży, niż skazać Maryję na ukamieniowanie przez cudzołóstwo. Czwarta rzecz, Józef pokazuje też swoją sprawiedliwość przez posłuszeństwo Bogu. W Biblii Anioł Pański cztery razy we śnie oznajmia mu, co ma robić, a on zawsze ukazuje swoją gotowość do wypełnienia Bożej woli.

Droga duchowa Józefa jest drogą akceptacji bez zrozumienia wszystkiego. Jeśliby pragnął wszystko zrozumieć, co się dzieje w jego życiu, byłby w wielkiej ciemności albo byłby sfrustrowany przez całe życie, że wydarzenia nie potoczyły się tak, jak on sobie tego życzył. Jego akceptacja życia prowadziła do pokoju serca i szczęścia. Umarł jako spełniony mąż i ojciec, mając przy sobie dwoje świętych ludzi, Maryję i Jezusa. Przykład świętego Józefa pomaga i nam akceptować wolę Boga w naszym życiu, ufając, że On może sprawić, że „kwiaty mogą kiełkować między skałami".

OJCIEC MILCZĄCY

W całej Ewangelii święty Józef nie wypowiada ani jednego słowa. Nad wszystkim, co robił, rozpościera się cisza. Jego milczenie jest skierowane na Jezusa, którego widzi, słyszy, z którym przebywa każdego dnia w swoim domu. Józef jest człowiekiem głębokiej duchowości i otwartości na to, co Bóg chce mu powiedzieć.

Prorok Eliasz spotkał Boga na górze Horeb, jak mówi Pierwsza Księga Królewska, w „szmerze łagodnego powiewu". To znaczy spotkał Go w ciszy. Przed „szmerem łagodnego wiatru" był potężny wicher, który rozłupywał góry i kruszył skały, ale Pana nie było w wichrze. Po wichrze było trzęsienie ziemi, ale Pana nie było w trzęsieniu ziemi. Po trzęsieniu ziemi był ogień, ale Pana nie było w ogniu. Po ogniu dało się odczuć „szmer łagodnego wiatru" i kiedy Eliasz go usłyszał, zasłonił sobie twarz płaszczem, gdyż powszechne było mniemanie, że ten kto zobaczy Boga, musi umrzeć. Pan przyszedł do Eliasza w powiewie delikatnego wiatru. Widzimy, że Bóg jest ciszą i przemawia do człowieka w ciszy.

Cisza jest niezwykle ważna dzisiaj, by móc usłyszeć samych siebie, drugiego człowieka i Boga. Cisza często nas przeraża, krępuje i czasem się jej boimy. We współczesnym świecie brakuje nam prawdziwej ciszy, bowiem świat przepełniony jest nadmiarem informacji, pracy, szybkim trybem życia. Jakże konieczne jest odszukanie równowagi między ciszą a hałasem, pracą a odpoczynkiem, modlitwą a życiem codziennym... Bowiem tylko wtedy możemy usłyszeć głos Boga, który chce do każdego z nas mówić. Bóg przemawia w ciszy, w ciszy też przemawia do nas własne serce. Owocem prawdziwej ciszy jest otwartość na życiodajny dialog z drugim człowiekiem, z Bogiem i z samym sobą. Zgiełk zamyka nas na relacje autentyczne, głębokie i dające poczucie szczęścia. Paradoksalnie, słysząc mniej, możemy usłyszeć więcej.

Drodzy Młodzi, odkrywanie świętego Józefa jest niezwykle fascynujące. Niech jego postawa i Was zainspiruje do okazywania miłości i czułości nie tylko swoim najbliższym, ale również wszystkim, których Bóg stawia na Waszej drodze. Nie zapominajcie też o czymś niezwykle ważnym, aby dobrze traktować innych, jak to czynił św. Józef, szczególnie wobec Maryi. Szanujmy się w każdej sytuacji, bez względu na kolor skóry czy inny światopogląd, inną religię, a drugiego człowieka traktujmy jak brata i siostrę. W natłoku naszych codziennych spraw postarajmy się znajdować czas dla Boga, by odnaleźć harmonię z Nim, z drugim człowiekiem i z samym sobą. Niech ten rok będzie czasem zaprzyjaźnienia się ze świętym Józefem. ■

Chcesz zostać misjonarzem?

Czujesz, że Twoim powołaniem są misje?

Czujesz, że swoje życie chcesz dzielić z najuboższymi i ostatnimi tego świata?

Nie czekaj, szkoda życia, a czas leci...

SPOTKANIE POWOŁANIOWE

18-20 VI 2021 r., Warszawa

Misjonarze Kombonianie

SKONTAKTUJ SIĘ Z NAMI:

o. Paweł Opioła MCCJ • tel. 797 178 182 • pawelcomboni@yahoo.it

W SŁUŻBIE EWANGELII

Misjonarze kombonianie to ojcowie i bracia należący do zgromadzenia zakonnego całkowicie poświęconego działalności misyjnej. Naszym założycielem był św. Daniel Comboni, wielki misjonarz Afryki. Głosimy Ewangelię w Azji, w obu Amerykach, w Afryce oraz Europie – w sumie w 41. krajach świata.

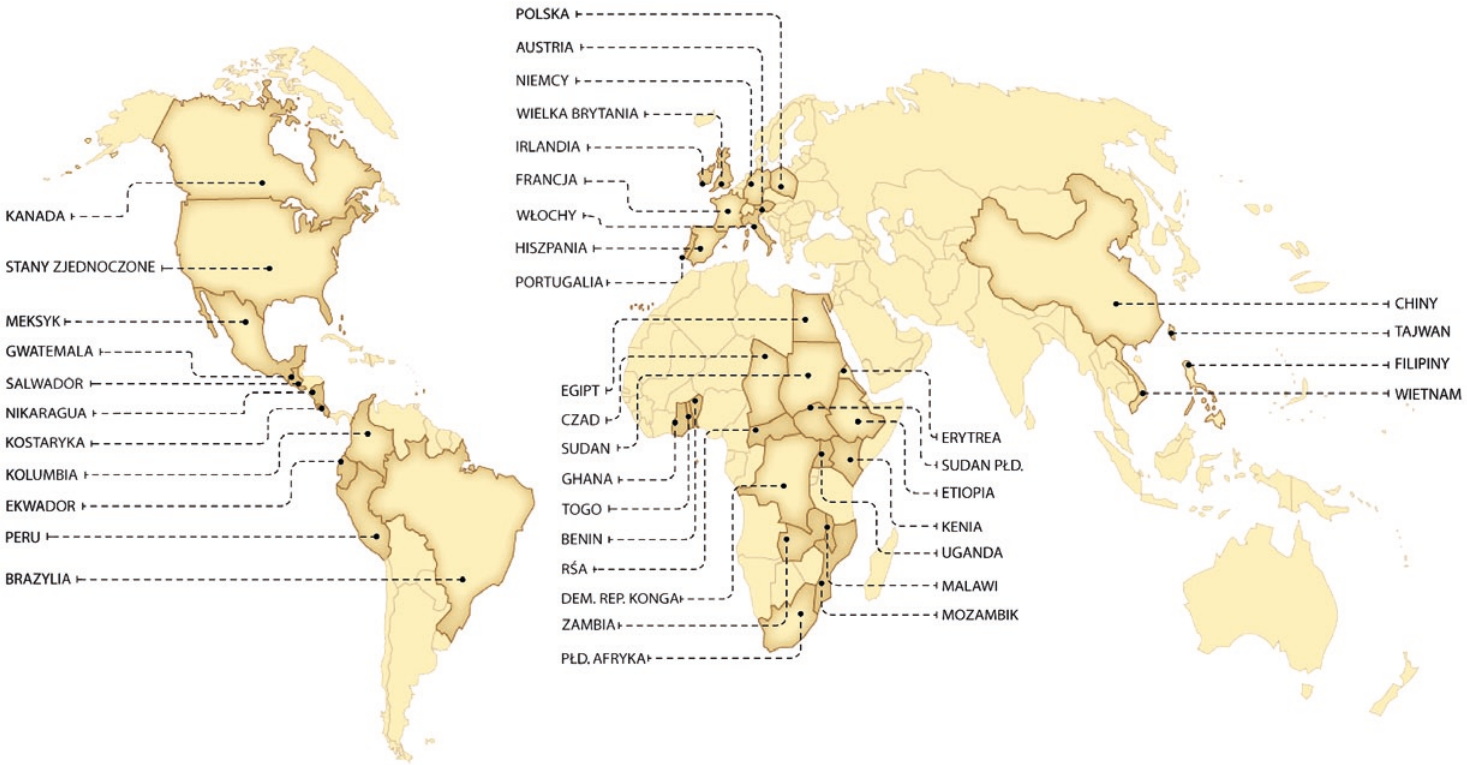

MCCJ Misjonarze Kombonianie

W POLSCE

WARSZAWA

ul. Łączna 14, 03-113 Warszawa
tel. 22 676 56 28, kombonianiewa@gmail.com

KRAKÓW

ul. Skośna 4, 30-383 Kraków
tel. 12 262 34 68, kombonianie@gmail.com

www.kombonianie.pl